

# PRZEGLĄD WILEŃSKI.

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ;
Rocznie - - - - -	7.00	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k.
Półrocznie - - - - -	3.50		W tekście (nadesłane) - - - - - 1 rb.
Kwartalnie - - - - -	1.75	Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.	Po tekście - - - - - 20 k.
Miesięcznie - - - - -	60	Skrzynka pocztowa № 52	
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			Numer pojedynczy 15 kop.
Rocznie - - - - -	8.--		
Półrocznie - - - - -	4.00		
Kwartalnie - - - - -	2.00		
Miesięcznie - - - - -	70		

### Od administracji.

W celu uregulowania nakładu, upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty na rok przyszły.

Prenumerata wynosi:

Rocznie - - - - -	8 rb.
Półrocznie - - - - -	4 rb.
Kwartalnie - - - - -	2 rb.
Miesięcznie - - - - -	70 kop.

Dla prenumeratorów zamiejscowych dołączamy do numeru dzisiejszego listy zwrotne.

## O MIEDZĘ.

Idą burze i cisze,  
Świat się w sobie kołysze.  
Idą czasy i wieki,  
Grom gdzieś warczy daleki:  
Kiedyż będzie, kiedyż będzie  
Panna młoda gotowa?

Z chwilą, gdy — według dowcipnego określenia któregoś z dzienników francuskich — najukochańszy wnuk babci Europy, zdolny dyplomata mr. Statusquo zmarł śmiercią nagłą w Macedonji, — nad widnokretem politycznym zawisła ciężka, brzemienna piorunami chmura, grożąc wybuchem straszliwej nawałnicy.

Od miesiąca już Europa wyczekuje w niepokoju, czy i kiedy grom uderzy. Atmosfera, przeładowana elektrycznością wywołuje uczucia silnego zdenerwowania. Z zapartym oddechem świat cywilizowany wpatruje się w stolicę naddunajską, skąd płyną tajemnicze szmery, niby szept nieruchomego boru przed burzą.

Wynik konferencji ambasadorów w Londynie, będący niedwuznacznym tryumfem dyplomatycznym Austrii, wywołał na razie uczucie ulgi. Giełdy odczętniejszy. Niema powodu do wojny. Ale uspokojenie rychło minęło, gdyż w pogotowiu zbrojnym Austrii nie zaszła żadna zmiana, wskazująca, iż niebezpieczeństwo minęło.

Zmobilizowana armja wciąż stoi pod bronią i przygotowania wojenne nie ustają, mimo iż każdy dzień kosztuje państwo dwa miliony koron.

Słusznie też prasa rosyjska zwraca uwagę, że zasada: „si vis pacem, para bellum“ nie może iść aż tak daleko. Nie doprowadza się państwa do kryzysu finansowego i nie powołuje się ośmiuset tysięcy ludzi pod broń jedynie w celu nastraszenia przeciwnika i wymuszenia tak mizernych korzyści, jak przyznanie autonomji Albanji i odcięcia Serbji od Adriatyku. Punkt ciężkości leżeć musi gdzieindziej. Gdzie? Domyślić się nie jest trudno.

A gdy nadchodzące wypadki mają wciągnąć w swój wir naród polski, gdy ziemie polskie stać się mają osią, dokoła której rozegrać się będzie dramat dziejowy, my tu, z tej strony Niemna i Buga, z oddali wyteżamy wzrok i słuch, by ujrzeć mgliste chociaż zarysy oblicza narodowego, by pochwycić niewyraźne echa „długich nocnych rodaków rozmów“...

I słyszymy, że Galicja przeżywa okres gorączkowych przygotowań, że bardziej rozważni hamują zapędy żywiółów zapalnych, że kraj cały jest w stanie najwyższego napięcia nerwowego, że ludzie się wciąż naradzają, spierają, organizują, że nikt nie jest bezczynnym i obojętnym wobec powagi chwili.

Tak jest za kordonem. A Warszawa?

Dziwna martwota wieje dziś z nad Wisły. Nie o akcję czynną chodzi, lecz o wyraźne stanowisko, o nastrój chociażby, o zainteresowanie wreszcie. Nadstawiamy ucha, i dolatuje nas jedynie wrzawa uliczna, czyniona przez przekupniów chrześcijańskich wygrażających pięściami straganiarkom żydowskiemu. Bojkot żydów — oto jedyne hasło, które rozbrzmiewa dziś tam, gdzie może jutro Nemezis dziejowa będzie ferowała swe sprawiedliwe wyroki. Jakieś dziwne zaślepienie ogarnęło naród, jakiś niewytłomaczony bezwład, rozpaczliwy lęk przed tem jutrem.

Spokój! Rezygnacja! — oto jedyne wskazania, wypowiadane głośno.

I chociaż pewne pisma zaznaczają, iż dyskusja publiczna jest niemożliwa i że milczenie nie oznacza bynajmniej aprobata poglądów, mających przywilej bezpieczeństwa, nie ulega wątpliwości, że większość społeczeństwa nie odczuwa w dostatecznym stopniu przełomowego momentu. Inaczej nie uszłoby bezkar.



nie owo wylamywanie się bezczelne z pod praw pilnie przestrzeganej dotąd etyki.

I skądże ten nastrój, to zainteresowanie mogą się wytworzyć, gdy jedna część prasy zmuszoną jest do milczenia, a druga z niepojętą namiętnością atakuje tych wszystkich, którzy myślą wybiegają po za obręb interesów drobno i wielko-mieszcząskich, i kwestją żydowską chce przesłonić problemat międzynarodowy. W dniu wigilijnym, głośny karjerowicz polityczny nie znalazł do powiedzenia „swemu narodowi“ nic po nad życzenie wzmożenia się w nim uczuć antysemickich...

W takiej chwili!

Przyszłość jest niepewna — powiadają rzecznicy spokoju za wszelką cenę. Któż wątpi o tem? Lecz czy terażniejszość jest taką, by należało ją ochraniać od zmian?

Odrzucenie przez Radę Państwa projektu samorządu miejskiego w Królestwie rozwiać musiało resztki iluzji, starannie podsycanych przez oportunistów politycznych, wmawiających w społeczeństwo zbawienność swych metod, opartych na flircie z październikowcami i szopce neosłowiańskiej.

Mowa Kokowcewa w Dumie, w której jedynym konkretnym ustępem było zapowiedź zniesienia kodeksu Napoleona, — uwydatniła całą nicność nadziei, pokładanych w dotychczasowym systemie postępowania reprezentantów narodu polskiego.

Czyż rzeczywistość zasługuje na jakie względy?

A jednak o nią właśnie drżą najbardziej pp. Dmowscy i Baliccy. Bo jakież motywy podyktowały ostatnio „Gazecie Warszawskiej“ następujące historyczne słowa: „Zaostrzone przez dłuższy czas stosunki austriacko-serbskie i austriacko-rosyjskie przed świętami złagodniały, i z dużą pewnością można powiedzieć, że, chwała Bogu, wojny teraz nie będzie. Powtarzamy—chwała Bogu, bo wojna obecnie mogłaby przynieść tylko klęski i krajowi naszemu, i całej naszej sprawie“.

Skąd ta pewność? Skąd ta rozpaczliwa trwoga przed nieznanem jutrem? Skąd to przekonanie, że bierność jest jedyną taktyką wskazaną?

Gdy staje dylemat: orientacja austriacka czy rosyjska, rozlega się niezmiennie głos endo-ugody: orientacja polska!

Trudno o bardziej szumny a pusty frazes.

Na czymże więc ma polegać owa orientacja polska? Na siedzeniu z założonymi rękami i czekaniu, co los da? Na kokietowaniu obu stron? Czy tylko na szpiegowskim myszkowaniu, azali za szyldem chrześcijańskim nie ukrywa się gdzie obrzezany wspólnik?

Orientacja polska! Więc czas już wielki, by społeczeństwo polskie zorjentowało się w sytuacji i przybrało zdecydowaną męską postawę, a nie przykrywało napuszoną frazeologią przerażającego zaniku wszelkich aspiracji do dorzucenia *własnego* słowa na szalę zmagających się dwóch sił.

Któż się liczy z masą amorfną, galaretowatą, drżącą przed byle podmuchem?

Chcieć—to móc, a czego chce naród polski na równinach mazowieckich i łanach kujawskich? W którą stronę zwraca głowę, ku czemu i komu szle swe tęsknoty i nadzieje?

Gdzieś tam w głębi „pod lawą“ bije może serce goręcej i silniej, dłaczegoż ogień ów nie przepali zimnej i plugawej powłoki, by moc i tężyzna były od niego łuną?

By czuć było silną wolę i szczere pragnienie.

Mimo chwilowe wyjaśnienie się horyzontu politycznego i horoskopy optymistyczne „Gazety Warszawskiej“, barometr wykazuje wciąż niskie ciśnienie. Burza nadciąga. Czy ma zastać naród nieprzygotowany, zajęty wyłącznie wojną domową i zbliżającym się karnawałem, do którego jak widać z dzienników, Warszawa szykuje się z zapalem.

Czy naród polski ma być piłką, przerzucaną z ręki do ręki, igraszką losu, dzieciakiem, z którego zdaniem nikt się nie liczy?

Zbliża się chwila, gdy kwestja polska staje się kwestją międzynarodową, gdy taką stać się powinna. Nie wolno wobec tego rezygnować dobrowolnie ze stanowiska, na które dzieje wynoszą naród, jeżeli nie wbrew, to mimo jego woli. W charakterze międzynarodowym tkwi punkt ciężkości zagadnienia.

I na tem musi polegać orientacja polska.

Rzecz dziwna. Przeciwno nadaniu tego charakteru w obecnej chwili przełomowej najmocniej protestują ci właśnie, którzy zawsze, w teorii mienili się

JAN AUGUSTYNOWICZ.

4

## Zastygła fala.

— Dobrze, dobrze! — zaszeptał. — Będę się strzegł, dziecko!

Z za okna dolatywał rzadki odgłos przecho-dniów. Miasto drętwiało już. Willa była uspiona, za ścianą cisza legła tajemna. Z daleka tylko, z portu, ciskały się gwiazdy syren.

— Będę się strzegł, dziecko! — powtórzył.

— Uciekajmy! — wyrzekła zdławionym głosem. Uciekajmy!

Anioł żałoby zakrył ziemię skrzydłem. Czarne kruki zleciały się, łopocąc wstrętnie. Hijeny, szakale jęły wyć. Gdzieś zaskrzybiała szubienica. Czerwony kat zaświecił krwawą latarenką...

Dzwon głuchy zajęczał.

Wzdrygnęła się, otoczyła głowę rękoma.

Zapełgała samotna gromnica...

Szloch rozdarł jej piersi.

Upadła na kozetę. Wytworna, pachnąca jej suknia załamała się fałd setką. Biały kark zaśnieił, płowe włosy zaigrały... Podszedł szybko i przywarł do dłoni jej z przestachem;

— Zośka! Zośka, ty skarbie!

Łkała i nie mógł jej utulić.

— Boję się... boję się... — mówiła jakby we śnie,

— Ty, Zocha? Ty, „Elza“? — próbował żartować. — No, mała, maleńka, no, Dzidzi! Dzidusi mój — przytulił ją do siebie — Dzi słodka...

Całował usta, czoło, policzki, oczy, uszy, szyję, ręce — szepotała tylko:

— Uciekajmy!

— Dobrze, dobrze! — zgodził się. — Dzi, żono, kochanku! Żonuś, żonuś serdeczna!

— Muszę te sprawy tu najpierw uporządkować. Prędko zrobię to, prędko. Z Matoczkinem się zobaczę. Sam za niego do Noworosyjska pojedę. Kornhorst wraca jutro. Wielabkow dziś na zebraniu, — tam w porcie. Z samego rana plan dalszy z nim omówię. Z Wierą widziałas się? Z Raissą? Z Lidją? Po obiedzie jutro do Cwietinina wstąpię. Krelski



być najgorętszymi obrońcami nieprzedawnionych praw historycznych.

Ci sami dzisiejsi zwolennicy lisich metod przy otwarciu I-ej Dumy wystąpili z szumną deklaracją, powołując się na traktat wiedeński. Czy dlatego, że to był najmniej odpowiedni moment, że reminiscencje historyczne nie mogły trafić do przekonania rewolucjonistów rosyjskich, że wówczas właśnie argumenty prawno-państwowe były rażącym dysonansem?

Więc gdy jest kryzys wewnętrzny, wówczas się wysuwa traktaty wiedeńskie, gdy zaś — międzynarodowy, stawia się jako ideał samorząd miejski czy ziemski?

Zamiast polityki — zabawa w ciuciu-babkę i ma tak trwać stale i zawsze?

Jakby w odpowiedzi czytamy w „Kurjerze Porannym“:

„Korespondent petersburski paryskiego „Temps'a“ donosząc o przygotowanach Rosji na wszystkie ewentualności, wspomina, że ktoś przybyły z Warszawy opowiadał mu, jakoby miasto nasze miało wygląd niezwykły. Oczywiście — to nieprawda. Warszawa nigdy nie była spokojniejszą i apatyczniejszą jak w okresie terażniejszego przesilenia europejskiego, a żadne zewnętrzne przejawy nie zakłócają tego spokoju i tej apatii. Ogół interesuje się tylko swoją własną „wojną wschodnią“, przeprowadzaną od czasu ostatnich wyborów i nie ma większej troski jak ta, aby wybory warszawskie były na nowo rozpisane i aby zyskać aprobatę władz centralnych na prawa ograniczające“.

Więc z niepokojem i zdumieniem patrzemy na ten wyraz błogiej bez troski na bliskim obliczu, my tu, o miedzę, skazani na rolę widzów...

Ludwik Abramowicz.

---

*Wszystkich przyjaciół naszego pisma prosimy o jego rozpowszechnianie.*

---

dostarczy mi adresów. Do Marjana telegram, to jasne.

Jakby przypomniał coś sobie, zwrócił się z żywością:

— „Centralny“ niech nic chwilowo jeszcze nie wie. Doniesie się w swoim czasie. Do głównego zarządu grupy tyfliskiej list szyfrowany wystarczy. Żal, żal... — rzekł — ale skoro tak bardzo...

Lecz jakby spostrzegłszy się, opamiętawszy się, zaprzeczył:

— To nieuzasadnione, Zośka! My nie mamy prawa tak, póki ostatnia konieczność... Zośka! Tak nie wolno, Zośka! Gdyby każdy tak, Zośka?? A ja wszak jeden z głównych, Zośka! Tak nie...

Ujrzał oczy jej rozszerzone i dreszcz, który nią wstrząsnął.

— Dobrze, dobrze! — rzucił jej rozpacznie.

Cisza pelzała wciąż większa. Tylko cykanie zegara wgrzało się w nią życiem...

— Nie jestem frycem, nie jestem frycem... Przywidzenia... — memrał do się. — Nie, stare ptaki takie. Piękna robota się zaczęła... Obce gęby, obce ryła, — gdzie, skąd aż tutajby? Świącie wszak, żem zagranicą, przekonani. Myślą, żeś i ty uciekła tam

## Obecny prąd antyżydowski, jako etap kultury.

Kwestja żydowska na ziemiach polskich stanowi dziś temat niewyczerpanej dyskusji. P. Sorokowicz w artykule poniższym dorzuca do niej ciekawy przyczynek. Nie sądzimy jednak, aby pogląd autora był wystarczającym wyjaśnieniem złożonego zjawiska.

Wielce trudną jest rzeczą odnosić się zupełnie bezstronnie do własnych ruchów społecznych naszych czasów. Zawadzają one tyłoma zębami o interesy, poglądy i sympatje osobiste jednostki, że każdy, zanim zdąży poznać i zrozumieć istotę danej sprawy, odruchowo zajmuje względem niej to lub owe stanowisko — przyjazne czy też wrogie.

Kto jednak potrafi opanować instynkt pionka życia gromadnego, kto zdobędzie się na wysiłek trudnego w tym wypadku obiektywizmu, niezawodnie przyjdzie do wniosku, że niema hasła, niema ruchu socjalnego bez głębokich, żywotnych przyczyn; że każdy sztandar, skupiający dokoła siebie wyznawców, jest zjawiskiem aktualnie koniecznym, odpowiadającym wymaganiom historii.

Stosuje się to również i do obecnego prądu antysemitycznego, który w ostatnich latach rozpłomieniał się tak mocno w Królestwie.

Jeżeli analizować będziemy jego przyczyny bezpośrednio, może nam się zdawać, jakoby wszystkie sprężyny tego procesu leżały na powierzchni życia i działały jedynie pod naciskiem pewnych doraźnych, przemijających zdarzeń. Widzimy więc agitację nacjonalistyczną, przeciwstawioną hasłom socjalnym w obronie t. zw. „ruchu wolnościowego“; widzimy dalej objaw reakcji porewolucyjnej i znane w takich momentach wzajemne gryzienie się pobitych; widzimy wreszcie i efekt szczucia zzewnątrz, ze strony mocy, hołdującej zasadzie: *divide et impera*, a ułatwiającej sobie zadanie przez sztuczne przeżydenie Królestwa...

za kordon do mnie. Pisał Karol, że sprawdzają w Paryżu i Gienewie. Gdzie myśl, że tutaj? Urwany z szubienicy — i znowu pod ręką kata? Nie, nie!

— Siejemy przyszość, Zośka! Zamiast zagranicą — tu w paszczę im leziemy. Co pięknych dusz, co pięknych dusz — „rubaszki“ te kacapskie! A tych tatarów paru? Tatarzy! To dobrze tak się poznać! A oni: — „Palaki bietaruczki“ No, niech wiedzą: i u nas też są ludzie!

Przestała łkać, siedziała cicha, niema. Elegancki smoking jego odbijał od jej jasnej sukni, biały gors koszułi jarzył się...

— Burżuj — wycodził. — Tss, malutka, tss, kochuchna! Nie plapli, Dzdziuś... Pojedziem, skoro trzeba, na nową pracę, trud. Urządzim się sprytniej jeszcze. W Noworosyjsku nie będziesz już „damo“, królewno. Do Batumu pojedziem, Tyflisu... Ale „damą“ zostanie zawsze królewna. Moja partyjniczka, socjalistka, moja groźna „Elza“! A rzekłbyś: kwiat jeno...

Zegar cykał — upływały minuty — utkwili w wzajemnym milczeniu. Wstała, by uporządkować rzeczy. Dziękowała mu cicho za zgodę.

Usłyszeli jęk dzwonka w przedsiionku. Jęk cu-



Przyczyny zjawiska leżą więc — zdawałoby się — jak na dłoni.

Czy jednak powyższe motywy, tak widoczne i aktualne, do dna zatargu istotnie sięgają? Co do tego poważne budzą się wątpliwości, gdy zjawisko przestajemy obserwować z punktu widzenia chwili i stosunków wyłącznie lokalnych.

Opuśćmy teren Królestwa i rozejrzyjmy się szerzej po innych ziemiach polskich, lub też prowincjach, ulegających wpływowi kultury polskiej. Uderzy nas fakt ciekawy. Oto, gdziekolwiek żydzi poddali się cywilizacji obcej, społeczność polska stała się anachroniczną. Tak jest na Litwie i tak jest w Poznańskim.

Natomiast wszyscy wiemy, że w Galicji i w Królestwie nietylko oficjalny postęp, ale długi szereg instytucji polskich, modernizujących całokształt życia i poszczególne jego dziedziny, był swój w znacznej mierze zawdzięczały poparciu żydostwa. Niemniej miały one wyraźny wpływ na rozwój stosunków społecznych i unowocześnianie myśli polskiej. Miarą tego wpływu może być chociażby fakt przedostania się socjalistów polskich do parlamentu wiedeńskiego. Pierwszy swój wybór zawdzięczał Daszyński w Krakowie (jak obecnie Jagiełło w Warszawie) prawie wyłącznie głosem żydowskim. Następnie jednak przybywało mu coraz więcej stronników polskich przy niemal równomiernym ubywaniu żydowskich.

Wyłom jednak zrobili żydzi.

Równie wymownymi są fakty, czerpane ze stosunków prasowych i wogóle wydawniczych. W drugiej połowie XIX stulecia nie było w Polsce pisma liberalnego, które nie opierałoby się na prenumeracie żydowskiej, przynajmniej w początkach swej egzystencji. Nawet ruch tak wybitnie później antysemityczny, jak narodowo-demokratyczny, w załączku swym obejść się nie mógł bez Hirsfeldów, Natansonów i Krakowskich...

A *propos* tego ostatniego nazwiska warto uczynić tu ciekawą dygresję. W warszawskim „Głosie” za czasów Popławskiego pojawiały się systematycznie artykuły Nikodema Krakowskiego, noszące wspólny tytuł: „Nasze stowarzyszenia zarobkowo-spółdzielcze”. Autor był nietylko zwo-

lennikiem kooperacji, ale jej namiętnie zawziętym i wytrwałym agitatorom. Atoli mało kto wie, że ów głosiciel idei, kojarzonej dziś z antysemityzmem i rzeczywiście dla żydów niebezpiecznej — sam był i pozostał żydem.

O roli, jaką mieli dla kultury polskiej w Królestwie i Galicji żydzi zasymilowani, bardzo wiele też dowiedzieć się można od dyrektorów scen prowincjonalnych. Był czas, a gdzieśgdzie trwa on jeszcze dotąd, gdy bez poparcia inteligencji żydowskiej teatr polski zgoła nie mógłby istnieć, a w każdym razie nie mógłby wystawiać utworów literatury nowoczesnej.

Czy była w tem jakaś specjalna zasługa żydów?

Broń Boże! Była to tylko konsekwencja faktu, że w Polsce wśród mieszczaństwa liczebnie dominują żydzi, z których też rekrutuje się poważny zastęp inteligencji. A inteligencja ta ma charakter wybitnie miejski, czem różni się od wyższych sfer mieszczaństwa polskiego, nie oderwanego dostatecznie od tradycji szlacheckich, wiejskich.

Sielskość miejskiej inteligencji polskiej bije w oczy szczególnie tam, gdzie żydzi, nie ciężąc do kultury polskiej, są w życiu izolowani. Przykładem tego — Poznań i Wilno. W obu tych miastach myśl polską znamionuje wybitny konserwatyzm i brak orientacji w prądach, nurtujących stosunki społeczne. Panuje też zupełne niezróżnicowanie opinii (a jeśli jest, to bardzo słabe), co rzeczywiście zuboża kulturę. W murach każdego z tych miast — Wilna i Poznania — mieszcza się właściwie dwa miasta. Jedno z nich, polskie, jest centrum, ogniskującym życie kraju rolniczego, zaspakajającym (obok usług ekonomicznych) potrzeby duchowe ziemian i włościan; od nich wyłącznie uzależnionem, nie spółdziałającym z ewolucją kultury burżuazyjnej. Drugie natomiast (Wilno żydowskie i niemiecko-żydowski Poznań) nie tyle jest ośrodkiem życia kraju, ile kraju tego eksploatacją. Poza to wszakże każde z tych miast żyje własnym, wybitnie miejskim życiem i pozostaje w kontakcie z burżuazją całego świata.

Jeżeli kontakt ten nie został zerwany między

dzy, nadzwyczajny, jakby go obca, niedomowa wywołała ręką.

Jakiś stłumiony pogwar doleciał ich z za wnętrza, z dołu — aż na piętro. Dzwonek zajączał znowu szybko i bezczelnie.

Cofnęła się ku oknu, rzuciła wzrokiem na dół. Rój ciemnych postaci zakruczył się przed domem.

Błada... Czują, jak krople krwi ściekają tam do serca, jak zastygają. Okrutny szal rozpaczy zatrząchnął nią, skował ją. Zadrzała... postąpiła krok...

Chciała rzec... nie mogła...

Spazm chwycił ją. Potworna pomroka przesłoniła oczy, — rozwarła się nagle.

Ujrzała go. Siedział tam, na kozetce, jak oto niedawno. Słuchał, niesłuchając, patrzył na nią. Spostrzegła ten bezmiar miłości i oddania, to zachwycenie. Ten lęk potworny o nią i zrozumiała, że pojął — wszystko.

— Jur... Jur... — zaszepiała w tej krótkiej godzinie życia.

Wstał ruchem niezwykłym, utulił ją na pierśsiach.

— *Atpirat!* doniósł się krzyk głośny z dołu.

Słyszeli, jak ktoś szedł otwierać. Stróż pewnie... służąca... gospodyni... sąsiad... szatan może... Rozumieli, że drzwi tamte zostaną otwarte i że tak mało sekund na przejście schodów trzeba. Wiedzieli, że drzwi w korytarzu należy też otworzyć i że te od ich pokoju zamknięte są na zamek. Że tamci wejdą i że...

Uciekać?..

Zatargała, zachleptała świadomość przerażająca: otoczeni! Cały dom, cała willa otoczona. Każde przejście, kąt każdy, każdy cal...

Nie mieli papierów kompromitujących. Nie „wsypia”. To przynajmniej...

Drzwi na dole się otworzyły. Złowieszcze, straszne kroki liczne kroki zapelzały. Szli wolno, jak — gdyby w obawie...

— Tak chciałabym powiedzieć ci raz jeszcze — rzekła szybko, z uniesieniem: Kocham cię! Przez radość, mękę, szal, upojenie, rozpacz, zachwycenie... Kocham cię, ty...

— *Po ukazu... — atpirat!* — usłyszeli tuż.

Klamka się zachybotowała, zamek nie puścił. W willi ruch wszczął się, jakiś płacz dziecka gdzieś, jakiś okrzyk... Patrzył w bezdnie jej oczu.



polską Warszawą, polskim Lwowem i Krakowem, to w znacznej bardzo mierze dzięki temu, że spolszczyła się tamtejsza inteligencja żydowska.

W miastach tych samorzutnie odbył się proces, który co do żydów miał w programie swym Wielopolski. Jak wiadomo, polityk ten w masie żydowskiej widział zaród mieszczaństwa, którego Polsce brakowało. Dlatego starał się on żydów z krajem związać, popierając równouprawnienie tudzież asymilację narodowościową i kulturalną.

Choć polityka Margrabiego zbankrutowała, okazało się z czasem, iż program jego w wielu kierunkach — sporadycznie zresztą — miał zadatki żywotności. Dotyczyło to poniekąd i sprawy żydowskiej. Wprawdzie masy izraelskie nie przekształciły się w mieszczańsko-polskie, ale wyłoniona z nich inteligencja w latach po-powstaniowych tłumnie się asymilowała. Na niej też z biegiem czasu oparła się polska kultura burżuazyjna ze wszystkimi jej wolnomyślnymi, a nawet społecznie radykalnymi rozgałęzieniami.

Z tego względu asymilacja żydów oddała ewolucji myśli polskiej niezaprzeczoną usługę. Bo choć słusznie twierdził w swoim czasie Mochnicki, że „element szlachecki jest oddychalnem powietrzem kraju naszego” — jednak nowoczesny ruch umysłowy odbiegł zbyt daleko od ideologii szlacheckiej, by mogła ona, pozostając sobą, skutecznie pośredniczyć w przeszczepianiu go na grunt polski, a tembardziej spótdziałać mu. Ruch ten, jako produkt stanu trzeciego, a w szczególności inteligencji miejskiej, dla zapładniania myśli polskiej, musiał posługiwać się właściwym przewodnikiem, t. j. również inteligencją *par excellence* miejską, burżuazyjną. A taką właśnie warstwę, zgoła niezwiązaną z tradycjami szlacheckimi, zdolną w zupełności z nimi się liczyć, narówni z mieszczaństwem francuskim, niemieckim etc., stanowili u nas przedewszystkiem zasymilowani żydzi.

Wszelako, mimo usługi, którą tem oddali, sam fakt był anormalny. Inteligencja polsko-żydowska, odgrywająca w Królestwie i Galicji rolę przodownika haseł wolnomyślnych, obca była nie-

tylko szlachcie polskiej, ale też i mieszczaństwu tudzież ludowi polskiemu.

Ona właściwie nie aklimatyzowała, nie polszczyła myśli nowoczesnej, lecz raczej popierała mechaniczne, nieprzetrawione zapożyczanie się u obcych. Rezultatem było coraz wyraźniejsze oddalanie się liberalizmu „polskiego“ od ducha mas, w których właśnie interesie liberalizm przemawia i na których gdzieindziej wyraźnie się opiera.

Rozbrat ów stawał się coraz widoczniejszy — w miarę, jak szeregi czysto miejskiej inteligencji, czyli burżuazji całkiem obcej ideologii szlacheckiej, coraz liczniej zasilal żywiol rdzenny.

Dziś w Krakowie, Lwowie, Warszawie pojawiła się już burżuazja czysto polska. Co do pochodzenia jest to żywiol mieszany: spotykamy tu przedstawicieli szlachty, którzy zdążyli zapomnieć o swoim szlachectwie, zubożonych drobnomieszczan, a wreszcie i synów chłopskich, co, odebrawszy wykształcenie, w miastach osiedli. Elementy te, połączywszy się w jeden nie na gruncie jakichkolwiek tradycji, ale właśnie na podłożu warunków nowoczesnych, oddalających je od polskiej sielskości, ujawniają tendencje liberalne, stanowiące do niedawna niejako monopol inteligencji żydowskiej.

Rola tej ostatniej kończy się z tą chwilą. Do głosu przychodzi wolnomyślnie mieszczaństwo polskie, które z konieczności przeprowadzić musi nasamprzód rewizję liberalizmu „polskiego“, szczepionego dotychczas przez żywiol niezupełnie ściśle związany z duchem polskim.

Oto, jak mnie się widzi, zasadniczy motyw walki.

Lecz może spyta kto: czemu rozogniła się ona tak mocno w Królestwie, gdy tymczasem w Galicji prawie jej nie dostrzegamy? Ano, przedewszystkiem dlatego, że rozwój stosunków społecznych odbywa się w Galicji normalnej. Życie tamtejsze o tyle już jest uregulowane, że nie wymaga wybuchów gwałtownych, koncentrujących w jednej chwili i w jednym wysiłku procesów dziejowych. Następnie Królestwo, jako bardziej uprzemysłowione, wytworzyło wcześniej w takiej

— Słońce się do nas śmieje..! — szepnęła. — Słońce się do nas śmieje...

— Śmieje się, dziecko...

— *Atpirat!*

Wytrzyma ten zamek jeszcze... Tchórze! — zaciśnął zęby z nienawiścią.

— Jur! — szepnęła szybko strasznie, klęcząc u nóg jego — już nadeszła chwila! Tak wcześniej nadeszła, — ale tak trzeba. Pojmą, zwiążą nas... Rozłączą! — jęknęła. Przeszła w szept znowu, jakby niechcąc, by ją tam słyszano. — Kto powie, że znów uciec zdołasz? A ja bez ciebie...

Wzdrygnął się.

— *Atpirat!* — głos zadrżał wściekłością i groźbą.

— Ja gotów... — runął duszą w otchłań...

Szybkim, kocim ruchem skoczył do kuferka, pochylił się. Wyjął brauning, podał jej. Spojrzała, czy nabity. Wziął drugi, sprawdził także... Zerwała się.

— *Atpirat, atpirat!*... — trzęsły się wściekle głosy.

Drzwi jęknęły, zatrzeszczały. Jakieś karki podważały. Chwila martwa przeszła, — jedna, druga — później trzask znowu. Jeszcze chwila.

Zamek puścił, drzwi otwarły się.

Cofnęli się oboje, chowając broń. Na twarze wyciągnęli spokój.

Oczy pewne zabłysły, potem drugie... Znów oczy jakieś... Ramię czyjeś półokrągłym ruchem się skradało. W dłoni świecił rewolwer. Później barki inne, pierś pewna znowu...

Ujrano tych dwoje doskonale. Strach i nieufność wypelzały... Wiedzano, czym rewizje takie pachnąć mogą. Stare wygi „achranki“ wypychały fryców naprzód...

Cisza... spokój... Pożyniecki stał, nie ruszając się... Spojrzał w pewnej chwili na nią... spojrzeli tak na siebie...

— *Pażynieckij Jurij... Pażynieckaja Soffa* — rozległo się tryumfujące.

Wpadli hurmą. Tak pewnie! — *chwata!*, *wiazat!*

Podniósł dłoń błyskawicznie. Nieduży czarny otwór się wyszczerzył. Złowieszczy mróz wpał się tamtym w kości. Huk krótki, głośny, straszny, potem drugi: zważyło się ciało tuż przed progiem. Znowu huk: raz, raz... Strzelała. Oczy ogarnęło szaleństwo. Padł znów jeden z tamtych i znowu. W bez-



np. Warszawie rdzenną polską burżuazję, niż zdążył zgrupować ją Lwów. A wreszcie przyczyniają się tu i okoliczności specyficzne, jak spędzenie do Królestwa tłumy żydów rosyjskich, a więc elementu podwójnie obcego stosunkom miejscowym, dalej — reakcja porewolucyjna etc.

Są to w każdym razie motywy drugorzędne. Pierwszym, najważniejszym, jest ukazanie się w dostatecznej już sile polskiej czysto miejskiej, liberalnej inteligencji, która nareszcie musi się wypowiedzieć i zająć stanowisko bezsprzecznie jej należne.

Jest to więc moment w dziejach kultury polskiej bardzo ważny.

Józef Sorokowicz.

## Wrażenia i myśli z podróży.

W Witebsku i Mohylowie.

### II.

W gubernji witebskiej nacjonałiści tak byli pewni zwycięstwa, że uważali za zbyteczne mobilizować duchowieństwo prawosławne. To też wyborców tej kategorii na ogólną cyfrę 196 wypadło zaledwie 13, co wyróżnia tę gubernję od większości innych.

Opozycję stanowiło: 16 żydów, 7 polaków i 1 łotysz katolik. Polakom w 7 powiatach dano po jednym miejscu, łącząc ich w osobne kurje. Trudno przypuszczać, by procentowe obliczenie ziemi, znajdującej się w rękach polskich, dało wszędzie jednakowy wynik, na zasadzie którego we wszystkich siedmiu powiatach wypadło polakom po jednym miejscu wyborcy. Tembardziej, że przy wyborach do I i II Dumy z pow. lepelskiego przeszli wyłącznie polacy. Trzeba wnioskować więc, że ilość wyborców polaków ustanowioną była dowolnie, bez uwzględnienia istotnego stosunku ziemi polskiej do rosyjskiej.

W miastach, oprócz Wieliza i Siebieża większość wszędzie była żydowska. Wypadło jednak,

ładzie cofać się poczęli. Któryś wymierzył lufę; strzelili. Skłębili się, zapchali sobą wyjście. Pożywiecki prażył tę gromadę, — jęk, krzyk, krew, przekleństwa zacharczały... Strzelała... Padł jeden jeszcze...

— Czorty, czorty! — rozległo się wycie dzikie.

— Strielat! — zagrzmiała komenda. — Strielat! Złapom!

Lunał grad kul. Strzelali jeszcze. Zdążył zmienić magazyn.

Chwylił dłonią... Kula strzaskała mu szczękę, druga przeszła mu płuca... Zatoczył się... spojrzal na nią jeszcze. Miała ranę na szyi, krew bluzgała jej. Nowa kula rozszarpała jej piersi. Ujrzała, jak bielmo przesłania mu żrenice. Krzyknęła przeraźliwie. Trzecia kula przeszła jej czaszkę. Uczyniła krok... zwała się.

Rzęzał cicho, niemo...

że w Dryssie trzeba było przeprowadzić na wyborcę marszałka szlachty Połowcewa, jednego z głównych kandydatów nacjonalistycznych. I przeprowadzono, wymusiwszy u żydów, by głosowali na niego.

Najcharakterystyczniejsze jednak prawyborcy miały miejsce w samym Witebsku, w drugiej kurji, gdzie jednego wyborcę obierali żydzi łącznie z polakami — a drugiego — prawosławni, staro-wiercy i luteranie.

Kiedy na tego drugiego wyborcę przeszedł postępowiec, wybor jego skasowano, i aby zapewnić większość kandydatowi nacjonalistów, dołączono do Witebska pobliskie miasteczka: Sanowicze, Kołyszki i Suraż.

Wedle skargi, przesłanej do Senatu, do tych miasteczek delegowano urzędników policji i zarządu gubernjalnego, którzy wyborcom wręczali kartki drukowane z nazwiskiem kandydata nacjonalistów, wymagając, by głosowali tylko na niego.

Do jednego z miasteczek, z inicjatywy gubernatora, przywieziono skrzynkę, i prawyborcy, tuż na miejscu, pod okiem opiekunów swoich, oddawali swe głosy.

W innym miasteczku, duchowny miejscowy wręczył zebrany prawyborcom po 1½ rubla i polecił psalmiście swemu, by dopilnował ich podróży i wrzucenia wręczonych kartek do skrzynki. Sam Witebsk i tym razem oddał większość swych głosów postępowcowi, ale miasteczka przechyliły szalę na rzecz nacjonalisty.

Komisja powiatowa uwzględniła skargę na te prawyborcy i skasowała je, już w sam dzień obioru posłów do Dumy o godz. 10 rano. Wówczas zebrała się natychmiast komisja gubernjalna i przed godziną 12-tą, t. j. przed chwilą rozpoczęcia wyborów do Dumy, decyzję komisji powiatowej wniosła.

Zebrani na wybory do Dumy włościanie, zwykłym już u nas trybem, byli wzięci pod wyłączną opiekę nacjonalistów i izolowani. Kiedy np. p. Teodorowicz nie został dopuszczony na ich obrady i zapragnął urządzić ogólne zebranie wyborców, to o tejże godzinie zaimprovizowano dla włościan obiad, choć był to już wieczór, a więc czas, kiedy włościanie obiadować nie mają zwyczaju.

Są poważne dane, że zjednanie włościan szło wcale nie gładko i nie łatwo, że w innych warunkach większość włościańska porozumiałaby się z opozycją, zupełnie zmieniając wynik wyborów.

Krzyczącym nadużyciem było też przenoszenie wyborców miejskich z jednej kurji do drugiej, t. j. do tej, gdzie nie mieli praw wyborczych, ale gdzie głosy ich mogły zaważyć w pożądanym kierunku.

Kiedy np. w Wielizu obrano reakcjonistę Suchorukowa, okazało się, że został on przeniesiony do kurji, gdzie nie posiadał praw wyborczych i tam właśnie obrany. Prezydent miasta na protesty oświadczyć miał publicznie: „tak, ja go przeniosłem z jednej kurji do drugiej — i nie był to wyjątek. Ale czyniłem to nie własnowolnie, lecz na żądanie kogoś, kogo nazwać z imienia nie mogę“.

Zdaniem p. Teodorowicza, od którego otrzymałem te informacje, sprawa otarła się była już o prokuratora, ale dalej się nie posunęła.

Naogół podkreślam tylko część nadużyć, przemilczając te, które mają charakter bardziej osobisty.



Drugim moim etapem po Witebsku był Mohylów.

Tu, jako najkompetentniejszego informatora, miałem wskazać sobie osobę p. Mirosława Obiezińskiego. Niestety, tu wpływ polaków na wybory tak jawnie sprowadzony był do zera, że prawie nikt z polaków na serjo nie interesował się nimi.

Przynajmniej p. Obieziński nie umiał mi wskazać takiego polaka. Mógł być nim — i to względnie — obywatel ziemski p. Hołyński, który przy wyborach do Dumy otrzymał z kandydatów opozycji największą ilość głosów. Ale szukać p. Hołyńskiego nie było łatwo. Mieszka aż w guberni orłowskiej, w przeddzień jeszcze był w Mohylowie, — a gdzie obecnie — niewiadomo.

Trzeba było zwrócić się starym zwyczajem do — żydów. I było to bardzo trafne, bo w wyborach tej gubernji najcharakterystyczniejszą rolę wypadło odegrać żydom.

Rzecz zdumiewająca bowiem, iż ujawnili tu oni szczególne ciążenie do marszałków szlachty z nominacji i nawet do antysemitów. W Czausach głosami żydowskimi obrany został marszałek szlachty i jawny antysemita. W Bychowie marszałek szlachty, w Horkach marszałek szlachty, w Czerykowie marszałek szlachty, oficjalny kandydat nacjonalistów na posła, wreszcie w Homlu, gdzie głosy żydowskie stanowią olbrzymią większość, olbrzymią większością wybrani zostali dwaj prawosławni, kontr-kandydaci żydów. Tego już było nadto. Prawyborcy żydzi telegraficznie zwrócili się ze skargami do gubernatora, do Makarowa, do Kokowcewa. Ale na wynik wyborów skargi te nie wpłynęły.

Z powiatów bardzo poważne nadużycia miały miejsce w pow. homelskim, skąd właśnie przeszedł poseł Ładomirskij. Skargę na te wybory komisja powiatowa uwzględniła, ale komisja gubernjalna większością 5 głosów przeciw 4 uznała je za prawomocne. Wyjątkowy wypadek, kiedy nawet w komisji gubernjalnej połowa głosów była za skasowaniem wyborów, daje pojęcie, co się tu dziać musiało.

Polacy wyodrębnieni byli w osobne kurje we wszystkich powiatach, z wyjątkiem horeckiego, czausowskiego i homelskiego. W pow. sieńskim dostali 3 miejsca, w innych po 1, razem 10 na ogólną ilość wyborców 125.

Żydzi mieli zapewnione minimum 23 głosy, ale zaznaczone ciążenie ich do nacjonalistów, wytworzone przez administrację i policję, zredukowało tę ilość do 15.

W Mohylowie, jak i w Witebsku, przy obiorze posłów do Dumy przeszli mniej skrajni reakcjoniści, tak zwana lista „ziemska“.

W przeciwieństwie do gubernji witebskiej wyznaczono tu całkowicie cenzusy duchownych prawosławnych; stanowili oni też czwartą część ogółu wyborców.

Że nie udało się przeprowadzić do Dumy niektórych skrajnych reakcjonistów, choć byli silnie faworyzowani — tkwi w tem dowód, iż nie tylko w łonie włościan, ale nawet i pewnej części duchowieństwa budzi się oporność przeciw reakcji za wszelką cenę, doprowadzonej do absurdu, t. j. przeciw poziomowi do jakiego doszła panująca w tym kraju „istinna“ rosyjskość.

\* \* \*

Przyjechałem do Mohylowa pod wieczór. Pogoda była prześlizna, powietrze lekko mroźne, jędrne, czuło się zalatujące już zdaleka tchnienie Ukrainy. Na ulicach tłum spacerujących, co krok pełne wdzięku i życia kobiece twarze, które na północy są tak rzadkie. Żywiol żydowski o wiele mniej rzucający się w oczy, niż w Witebsku. Mniej sklepów, więcej ładnych, niekiedy wytwornych domków, przeznaczonych tylko na prywatne mieszkania.

Naogół nie czuć tu zgiełku drobnohandlowego, czuć natomiast pogodną powagę, jaką daje dobrobyt.

Życie polskie skromnie chowa się na plan dalszy. Sam kościół ukryty w podwórzu; zastania go zwykła, dość brudna kamienica i domyślić się o istnieniu za jej bramą kościoła — trudno.

— My, polacy — mówił mi p. Obieziński — jesteśmy tu w warunkach o wiele łżejszych, niż w gubernjach sąsiednich. Nie mamy tu przeciwko sobie tak wrogich organizacji, jak np. w Mińsku albo Grodnie. Nacjonałisci niby się organizują, ale raczej *pro forma*, bo właściwie nie mają u nas nic do czynienia. Posiadamy tu swój klub, urządzamy polskie przedstawienia amatorskie, i pozostawiają nas w spokoju.

Sens z tego chyba taki, że życie polskie w Mohylowie zredukowało się do tak wąskiego strumyka, stało się wartością tak nikłą i drobną, że do jakiejś walki ze sobą nie daje materiału ani pola. Stało się poprostu życiem kolonji polskiej w mieście rosyjskiem. Takie się też i odbiera wrażenie. Języka polskiego mniej słyhać, niż w Petersburgu.

Mohylów ma pretensję i widocznie ma możność przybierania pod niektórymi względami pozorów wielkomijskich. Kiedy wieczorem zaszedłem na kolację do restauracji przy hotelu Bristol, muzyka hucznie grała, a wśród publiczności krążyły jaskrawe poubierane kokoty. Śpiewano po rosyjsku i po niemiecku, do późna w noc, przy czynnym udziale publiczności...

Józef Kuczyński.

## Głos litewski o sytuacji.

W № 146 „Lietuvos Zinios“ ukazał się wstępny artykuł, podpisany literą M. pod tytułem: „Polityka wielkich mocarstw i kwestja narodów podległych“. Niżej podajemy w streszczeniu i wyjątkach treść tego artykułu, zasługującego zewszehmiar na uwagę.

Atmosfera polityczna tak jest obecnie zgęszczona i naelektryzowana, powiada autor, że lada dzień może wybuchnąć burza. Tego obecnie nikt nie ukrywa. I wszyscy wskazują na niebezpieczeństwo, jakie grozi pokojowi ze strony Austrii i Rosji. Stosunki między temi mocarstwami są tego rodzaju, że jeżeli konflikt obecny zostanie zażegnany, to może on wybuchnąć przy lada okoliczności z jeszcze większą siłą.

Fakty — pisze M. — zdają się to wszystko potwierdzać. W takim oto krytycznym czasie zupełnie niespodzianie zostali usunięci z posad austrijskiego minister wojny i główny dowódca wojska, a na miejsce powołani inni, uchodzący za stronników następcy tronu. Pisma stwierdzają, że to jest wyraźne zwycięstwo „partji wojennej“ w Austrii,



gdyż obecny przestarzały cesarz bądź co bądź wojny unika, natomiast następca tronu już nieraz dał się poznać nie tylko jako zwolennik wojny wogóle, lecz i specjalnie jako nieprzyjaciel Rosji.

Niemcy, wierny sprzymierzeniec i towarzysz Austrii, już oddawna czynnie popierają kolonizację niemiecką Łotwy, Estlandji, Polski i Litwy. Jeżeli dotąd jeszcze kto był zdania, że kolonizacja ta nie ma celów politycznych, to teraz musi to zdanie swoje zmienić. Wystarcza przyrzeć się, jak skwapliwie niemiecka prasa konserwatywna i liberalna notuje najblahsze objawy z życia kolonistów niemieckich na Litwie, Łotwie i t. d., szczególnie, jak nerwowo i nieprzychylnie spotkano w prasie niemieckiej obecnie nowy projekt ministerjum spraw wewnętrznych w sprawie kolonistów obcokrajowych, aby dostrzec, że ta kolonizacja nie jest objawem zwyczajnym, dyktowanym wyłącznie przez potrzeby natury ekonomicznej, ale stanowi ważną robotą polityczną i strategiczną. Niemcy koloniści tak Łotwy jak i Litwy kolonizowani są i wspierani przez państwowe banki pruskie—i to dziś nie jest już tajemnicą. A wzmiankowany już projekt rządu rosyjskiego przeciwko kolonistom obcokrajowym, jako też ogłoszenie Rewla i Grodna za ważne punkty strategiczne, wskazują, że rząd rosyjski również pojmuje te kroki swoich sąsiadów i ze swojej strony też się szykuje“...

Dalej autor wskazuje na to, że w ostatnich czasach daje się jakoby odczuwać ze strony Niemiec wyraźna chęć zbliżenia się z Anglią i Francją.

„Tak więc widzimy—pisze autor—że z czasem Rosja może zostać jeszcze więcej odosobnioną, a wtedy niebezpieczeństwo wojny byłoby jeszcze większe. A gdyby wojna wybuchła, to „ciemnione narody“ szczególnie litwini i polacy, znaleźliby się w samym centrum „teatru wojny“. Przeto niema się co dziwić, że ostatnio tak bardzo podniósł się nastrój w społeczeństwie polskiem i często słychać głosy: „za Polską wolność!“. Nie dziw też, że polska socjaldemokracja obiecuje stanąć po stronie Austrii.

Ale nie tylko polacy. Kiedy na początku grudnia we Lwowie odbywały się w ciągu kilku dni zebrania posłów polskich w celu omówienia obecnej sytuacji i stanowiska narodu polskiego, w tym samym czasie odbywały się też zebrania rusińskie, na których przyjęto też rozsolucję: „stanąć w potrzebie po stronie Austrii i walczyć o wolność swego narodu“.

Jednakowoż nam litwinom jeszcze ciekawsze wiadomości przynosi „Vien. Liet“. № 49 (pismo amerykańskie.) Tam się pisze, że pisma polskie w Ameryce wprost „agitują aby skorzystać z chwili... Kluby gimnastyczne i sokolskie uczą naprędce swych członków musztry żołnierskiej — i bogatsi patryjoci obiecują ofiarować tysiące dolarów“... Dalej: „Mnóstwo dosyć inteligentnych polaków amerykańskich wierzy w tę polską rewolucję gorąco. Nie tylko wierzy, lecz jeszcze wabi i litwinów aby przyłączyli się do nich“...

Następnie cytuje autor to samo pismo litewskie, które powiada, że jakoby polacy wprost „zdrajcami“ nazywają litwinów za to, że ci ostatni nie szykują się do powstania: „Jeżeli obecnie polacy—tak referuje to pismo wynurzenia polskie—nie nie osiągną swem powstaniem, to spora część winy przypada w udziale litwinom, ponieważ nie chcą pomóc polakom wyzwolić się z pod jarzma Rosji i ponieważ sami litwini nie pragną

z pod tego jarzma wyzwolić się w takiej dogodnej chwili“.

„Na czem się opiera—pyta dalej autor—taka gorączka polaków? I jakie mogą być ideały uciemiężonych narodów w obecnej sytuacji politycznej?—O ile udało się dociec z pism niemieckich, jak też widać z cytowanej „Vien. Liet.“, polacy nie spodziewają się sami, aby się udało im teraz utworzyć własne państwo. To samo widać i z rusińskiej rezolucji. Tak rusini, jak i polacy mają takie kombinacje: pomoc Austrii (i Niemcom) w wojnie z Rosją, kiedy zaś Rosja będzie już zwyciężona, to rozumie się wpiereg Polska, następnie zaś Ukraina przeszłyby pod panowanie Austrii. Austrija zaś posiada wolność polityczną; tak rusini jak i polacy posiadają tutaj nie tylko swoje swobody, ale i ministrów we wspólnym rządzie austriackim, a przeto stanowią już i poważną siłę w życiu politycznym państwa. A za takie „serdeczne“ poparcie tak jedni, jak i drudzy spodziewają się od Austrii jeszcze większych koncesji.

„Możliwa jest jeszcze i inna kombinacja. Jeżeliby Rosji pokłócić nie udało się, to się spodziewają sprawy choć tak przynajmniej pokierować, aby przyszła „konferencja pokojowa“ zmusiła Rosję nadać Polsce i Ukrainie autonomje, jak to teraz dostaną autonomję albańczycy. Optymiści polscy dodają jeszcze, że przy „pomyślnym rozwoju spraw“ może się udać na wspomnianej konferencji nawet wszystkie sprawy tak pokierować, że Galicja, Królestwo Polskie i Poznańskie byłyby złączone w jedną całość autonomiczną i weszłyby do federacyjnego państwa austriackiego. Niemcy zaś za Poznańskie dostałyby inne kraje od Rosji. Temi innymi krajami mogą być oczywiście tylko Litwa i kraje nadbałtyckie.

„Lecz cóż litwini? Dotychczas tylko amerykańska „Vien. Liet.“ odezwała się na tę kwestję i wyraźnie zaznaczyła, że przy „obecnym rozwoju historii politycznej tak się złożyło, że nam małe tylko wyrachowanie zostaje oddzielać się od Rosji... nam i pod berłem Austrii nie byłoby „cieplej“ ze strony polaków“. Ze od polaków „cieplej“ nie byłoby, to niema żadnej co do tego wątpliwości, ponieważ nawet teraz w parlamencie austriackim widzimy demonstracje i obstrukcje, czynione przez słowian i rusinów przeciwko tej polityce, którą tam prowadzą zarazem i polacy. Lecz do Austrii chyba tylko szczególnym trafem moglibyśmy być przyłączeni. Jeżeliby już sądzono nam było komu innemu się dostać, to tylko Niemcom. Lecz i tu, zdaje się, zanadto się nie ucieszylibyśmy, bo liberali niemieccy są więcej szowinistyczni niż konserwatyści rosyjscy. Z niektórych protokołów rady ministerjalnej Rosji i z różnych memorjałów widać, że nawet taki głośny Pobiedonoscew był przeciwny polityce rusyfikacyjnej względem obcoplemieńców. Wprawdzie i Pobiedonoscew, i Imiereyński, i Witte i in.—wszyscy oni mówią o „rusyfikacji“, lecz w tem znaczeniu, żeby obcoplemieńcy tylko przejęli się idejami państwa rosyjskiego i we wszystkim szli ręką w rękę z rdzennymi rosjanami“. Prawda, z tych samych cyrkularzy, protokołów i in. widać, że jest kierunek w szeregach samej biurokracji, który marzy o całkowitem zrusyfikowaniu obcoplemieńców, lecz fakty życiowe wciąż te ich mrzonki rozpraszają“.

„A przecie w rzeczywistości w „despotycznej“ Rosji prawa nasze „narodowe“ (języka ojczystego) o wiele większe są, niż takie same prawa litwinów pruskich i nawet samych polaków w „wolnych“



Niemczech. *Nam brak tylko praw człowieka i obywatela*, których wszakże kiedykolwiek się doczekamy, bo przecie nie można przypuszczać, aby ludność 150-miljonowa mogła trwać wiecznie w takim położeniu“.

„Ale jak tam dalej będzie—my dziś nie wiemy. Możliwym jest, że ani powstania, ani powszechnej wojny europejskiej nie będzie, że ani polacy nie zdobędą wolności, ani my się nie dostaniemy Niemcom. Albo znowu jest możliwym, że nie Rosję pobito by, ale przy pomocy Francji i Anglii Rosja pobiła by Austrię i Niemcy, i wówczas sytuacja zmienia się radykalnie.

Ale jedno jest jasne: wojna bałkańska, autonomia irlandzka, obecne ruchy polaków, rusinów, białorusinów i t. d. i liczenie się wielkich mocarstw z temi ruchami pokazują, że sam bieg wypadków „ciemnione narody“ wynosi na powierzchnię i czyni ważnym czynnikiem w polityce państwowej. Dla nas zaś, litwinów, oczywiście się staje jeszcze jedno: my się znajdujemy między młotem i kowadłem—między kolonizacją niemiecką i rosyjską z jednej strony, między „bratnią“ działalnością polską z drugiej i między naszą własną jeszcze słabą siłą narodową—z trzeciej. Tymczasem fakty historyczne już wymagają, abyśmy w każdej chwili gotowi byli stanąć na swych własnych nogach i o własnych siłach chodzić“.

## Z NAD TAMIZY.

(Korespondencja własna „Przeglądu Wileńskiego“).

Londyn 16 grudnia.

Gdybym należał do zgromadzenia Metodystów i jak sąsiad mój z naprzeciwka po wzbogaceniu się na czerwonoskórych braciach, przemyślał o zrobieniu nowego businessu u Lorda nad Lordami—wychodziłbym codzień jako i on do Hyde-Parku i najfalszywszym w świecie głosem opiewałbym pochwałę kłamstwa. Robiłbym to na przekór, na złość wszystkim przyszłym profesorom niemieckim.

Majaczej mi już dzisiaj portrety ich wyjęte z galerji Spitzwega, owe zgarbione postacie odziane w szlafrok i poczarwane okulary, gdy zagłębiają się w historję wojny bałkańskiej i trawia życie nad ustaleniem tych wypadków, które się nigdy nie działy.

I tak idąc metodą retrospektywną wstecz, przeczuwam już, że przyszłe pokolenie dowie się o zdobyciu niezdobitych twierdz, o ulisesowskich kolejach zwycięzców i zwyciężonych, o bezimennych bohaterach wysłanych z łona ziemi i o ofiarach, które w trójnasób przewyższyły liczbę wszystkich czterech narodów razem.

Być może, że zatrzymają się dopiero przy stu funtach wypłacanych miesięcznie korespondentom, przy zakupie koni pod siodło, wynajęciu dwóch służących i wszystkich drutów telegraficznych przez mniej więcej szanujące się pisma angielskie.

Ten drobiazg wzmógł fantazję pisarską i wprowadził do Europy pewne ożywienie tętnic zdrętwiałych w jesiennej szarudze.

Były dni w Londynie, w których pod wrażeniem nowin nadstawiało się lekliwie ucho, czyli

kędyś w dali otrąbią trębacz gwardji niebieskiej koniec stworzenia, bywały dni, w których oko rozglądało się frasobliwie po węglach pokoju szukając czyli już nie wstaje przedwiekowa postać praojca i nie zaprasza do wspólnej przechadzki na dolinę Józafata.

Anglikom potrzeba grubych, ciężkich wzruszeń—czegoś, coby zatargało zdrowiem nerwami narodu—czynność tych pobudliwych muszek sprawiają dziennikarze.

Nigdzie bowiem pod słońcem nie przywiązują tyle wagi do drukowanego słowa—nigdzie tak bezkrytycznie nie przyjmuje ludność najbardziej ryzykownych teorii jak w Anglii.

Biblia i gazeta układają życie anglika.

Polega to na pewnej społecznej uczciwości, która nakazuje Mr. Jamesowi wierzyć, że sąsiad jego jest najlepszym człowiekiem na ziemi, a na odwrót sąsiadowi mieć najmocniejsze przekonanie, że na każde słowo Jamesa przysięgać można jak na Ewangielję.

Przykrego rozczarowania doznał więc dyrektor Reinhardt, gdy ołówek cenzora moralności niemal w wilję wystawienia pantominy „The Venetian Night“ skreślił mu najpiękniejsze ustępy w sztuce. Bo było tak:

Jakowaś wdzięczna signorina wychodzi za mąż za starego, ale bogatego signora.

W nawiasie jest ten trzeci—i jako że rzecz cała odbywa się w pantominie, więc przy uczcie poślubnej rzuca uroczą donna kochankowi różę i zaprasza go na schadzke.

Rzecz zresztą niewinna na scenie i przystojna na kontynencie dla szesnastoletnich podlotków, w Londynie jednak wywołała nieopisane oburzenie.

I nie znalazł się żaden obrońca, któryby śmiało i bez ogródek wyrzekł, że i w angielskim Imperjum nie są zbyt rzadkie podobne zdarzenia, a owa przygoda z Nocy weneckiej jest sytuacją czysto dramatyczną, stykającą się z życiem w bardzo odległej przenośni.

W kraju Armji Zbawienia, w kraju kwaków, metodystów, baptystów i w ojczyźnie najdziwaczniejszych anachoretów, sztuka ma szczególne zadanie, teatr osobne posłannictwo, które spełniać musi wobec społeczeństwa.

Anglik kocha teatr i poezję po swojemu, lubi roześmiać się pełną piersią, zapomnieć wśród kinokietów o życiowej zmurze, ale wymaga od sztuki, by mu dawała wizje lepszych światów.

I ten objaw jest zasadniczą zaletą całej anglosaksońskiej twórczości—począwszy od nieporównanych opowieści Chaucera, po najnowsze poetyczne stylizacje.

Tęsknota za tem mistycznym Eldorado, kędy drogi usłane kruszcem drogocennym, kędy stopy wędrowca w piaskach grzęzną złotych, a dusze ludzkie tak czyste jako górskie krynice—przebija się w całej angielskiej sztuce.

Takim wiekiem czystej abstrakcji były niedawno czasy preraphaelitów, najbardziej narodowych, najbardziej angielskich artystów.

Dzisiejsze pokolenie żyje ciągle ich życiem, a jeśli oddali się na chwilę od tych słonecznych legend utkanych przez Browninga, Ruskina, Burne-Jonesa i Rosettiego—to po to, aby u starożytnych ułowić snopy śnieżnych promieni i podać je jako nowy, rytmiczny kształt.

Mówię o najświeższej wystawie w „Roya Society“.

Podczas gdy na kontynencie rodzą się raz



po raz nowe teorie artystyczne i po niezlikwidowanym jeszcze impresjonizmie różnych odcieni, witaliśmy już szkoły asyryjskie, egipskie—nasłuchaliśmy już nowych haseł wygłaszanych przez prymitywów, bizańtyńców, kubistów, futurystów, w Anglii stanęła sztuka w tem miejscu, gdzie ją zostawili gienjalni uczniowie Ruskina.

Z kontynentalnych nowości nie przyjęła się ani jedna, nawet impresjonizm zmieniający do szczętnie tradycje malarskie przeszedł z małemi wyjątkami tak niepostrzeżenie, że niepodobna ustalić sfery jego wpływów.

Kilkaset płócien z „Royal Society“—to jedna tęsknota za słońcem i dobrem.

Śród tych różnorodnych artystów o rozmaitych temperamentach, o różnych metodach malarskich pokutuje ciągle, szczególny romantyzm wyrażający się w upiększaniu i idealizowaniu życia.

Zda mi się powrotną falą przyplłynęła epoka mistrza Jana-Jakóba niedbającego o łaski pańskie i dwór książęcy dla awanturniczego spółżycia z przyrodą.

Spółczesny malarz angielski po nad wszelkie radości przekłada sielankę.

Stąd takie bogactwo krajobrazu—być może przypominającego żywo Cuypa, Steena, Ruysdala czy Hobemę, ale żywego, ale słonecznego, ale pełnego kwiatów i niepokalanej zieleni.

W społecznem malarstwie angielskiem nie szukam żadnych teorii, nie baczę nawet na to, że sztuka europejska pomknęła już dawno dalej, lecz wracam do niej chętnie—tak jak chętnie się wraca po burzliwych niewyczasach do opuszczonych świątyń młodości.

Trzeba zetknąć się z tymi ludźmi o zimnych na pozór obliczach, trzeba wejść do domów troskliwie strzeżonych przed okiem cudzoziemca, by zrozumieć, że w tych niby kamiennych sercach wrą pasje ludzkie, kłębią się namiętności stokroć może silniejsze, niżby na to wskazywały spokojne drgnienia powiek.

Trzeba mieć giest królewski i wielką dostojność duszy, by rzec tak—jako rzekł Conan Doyle, autor tyle razy parafrazowanego Sherloka Holmesa.

Subtelny pisarz przemawiał bowiem za uchwaleniem irlandzkiej autonomji. „Najświętszą dewizą ludzkości powinna być sprawiedliwość—córa boża. W jej więc imieniu zwracam się do was, obywatele Wielkiej Brytanji, wypełnijcie przykazanie Nieba i zwróćcie irlandzkiemu narodowi prawa, które utracił przez niesprawiedliwość naszą“.

Irlandja stoi dzisiaj w przededniu nowej ery—prześladowana wieki całe, niszczonea prote stancką nietolerancją i nadzwyczajnemi prawami, rozdrapywana konfiskatą ziemi wstaje po wiekowej niedoli odrodzona męczeństwem.

Autonomja jej jest sprawą najbliższej przyszłości.

A jednak w tym budzącym się do samoistnego życia narodzie istnieje silna partja, która nie życzy sobie odrębności państwowej.

Irlandzka Targowica!

Napisał kiedyś nasz polski Kraszewski, powieść, która powszechnie uchodzi za niebezpieczny majak polityczny.

Celem tej powieści było odwiedzenie polaków od wielkiego handlu „bo wypacza on duszę narodu“.

W tem paradoksalnem twierdzeniu ukrywa się spora doza prawdy.

Dzisiejsza Irlandja stwierdza przewidywania polskiego pisarza. Nie szlachta, którą częścią ze zwyczaju posadzamy o brak obywatelskich uczuć, nie robotnik odsadzony od wszelkiej łączności z narodem—ale ten trzeci stan—to mieszczaństwo wzbogacone na szczęśliwych imprezach uchyla się od obowiązku wobec ziemi swych ojców i łączy się z przeciwnikami niezależności.

Ponad własną historję i kulturę, ponad świetną tradycję, lepsze są zyski płynące ze służby u obcych bogów.

Nikczemne, małe dusze przekupeczyły szlachetną dumę o wolności.

Dr. Kazimierz Wrzos.

## Syndykalizm francuski.

(Dokończenie).

Cały zapas energii, zużytkowany przez syndykalizm w okresie jego kształtowania się na zdobycie samoistnego życia, po 1902 roku skierował się wewnątrz, obudził nowe siły i stworzył nowe zadania. Jak w każdym społeczeństwie powstały i tutaj dążenia bądź umiarkowane, ugodowe, bądź też skrajnie rewolucyjne. Pomijając grupy nieogarnięte jeszcze agitacją tej lub innej strony, dzieli się on na dwa obozy: syndykalizm reformistyczny i syndykalizm rewolucyjny.

Pierwszy mniej oryginalny, mniej paradoksalny toczy się względnie równą falą teraźniejszego życia. Wzorując się na trade-unjonach angielskich i gwerkschaftach niemieckich, opiera się nie na jednostkach zdecydowanych i energicznych, lecz na masie, którą przyciąga szeroką tolerancją i korzyściami z wielkiej organizacji. Dlatego też stara się utrzymać związek międzynarodowy i „łącznej sile tych, którzy nie pracują, chce przeciwstawić łączną siłę tych, którzy nie posiadają“ (Fournière). Lecz nie jest partją, nie jest nawet partją prasy. Państwo jest złe, więc propaguje antyparlamentaryzm; to samo z patryjotyzmem; to samo z militarystem. Bo nie można, jak zaznacza Keufer, w jedną zasadniczą ideję wtłaczać innych, które ją ranią, nie można dzielić proletariatu, stawiając wymagania jakiegokolwiek partji. Inni, jak Guérard, Coupat, Renard rozwijają jeszcze poważniejszy argument: jeśli idea strejku powszechnego nie jest wystarczająca, ażeby pociągnąć za sobą pracowników, to czy warto było oddzielać się do socjalizmu, ażeby powiększyć zastęp zamaskowanych anarchistów? A tymczasem praktyka wskazuje bezustannie, że dobrze zorganizowany strejk przynosi niewątpliwe korzyści, a inne metody walki bez względu na ich stempel, zawodziły po mimo największych poświęceń i wysiłków. Potęga rosnącej masy, akumulowanych sił jest wiecną groźbą dla krzywdy i pewnikiem niechybnej zmiany.

Przeciwstawia mu filozofję czynu syndykalizm rewolucyjny. Według niego, niepodobnięstwem jest odsunąć się od rzeczywistości. Czyż kiedykolwiek syndykalizm był we Francji wolnym i niezależnym? Przez długie lata znajdował się na usługach socjalizmu przy każdych wyborach, radykałów przy walce z klerem, a nawet robiono



z niego przeciwwagę dla nacjonalistów podczas procesu Dreyfusa. Wielka masa, którą zorganizowaną można rzucić w każdej chwili na ulicę, była zbyt znaczną pokusą. Jeśli więc nie pójdzie się drogą realnych wymagań życia i według własnej ideologii, to „zwiążą pod swój sztandar inni, od których syndykalizm z takim trudem się oderwał. Zgoda na strejk powszechny lub częściowy, lecz można ów strejk udoskonalić przez akcję bezpośrednią (action directe). A więc manifestacje uliczne jako środek agitacyjny; bojkot „największych wyzyskiwaczy jako nauka dla innych“; label t. j. popieranie fabrykantów powolnych względem żądań robotników; picketing t. j. szpiegowanie łamiestrejków; rattening-terror nad nimi; a nareszcie sabotaż, który zaczyna się od niedbałej pracy według zasady „jaka płaca taka praca“ i kończy się na niszczeniu narzędzi i materiałów. Nade wszystko propaguje on sabotaż z dodatkiem „inteligentny“. Podpalić np. drukarnię byłoby nierozsądnym, ale rozsypać i pomieszać wszystkie czcionki, złamać parę trybów w maszynie jest najzupełniej wskazanem: innemi słowy unikać nieporozumień z kodeksem karnym. Nie ulega też wątpliwości, że tak prowadzony strejk łatwiej wywoła ustępstwa ze strony pracobiorców. Oprócz tego istnieje teoretyczne uzasadnienie takiej metody. Zadanie to podjął Sorel i w sporem dziełku (Réflexions sur la violence) dał całą filozofję gwałtu, która dzisiaj jest ewangelją syndykalizmu rewolucyjnego.

Pomimo, że pragnęlibyśmy oszczędzić czytelnikom osobistych wrażeń, pomimo, że Sorel zdobył markę autorytetu w swej specjalności, nie możemy nie zrobić uwagi, że rzadko spotkać tak pretensjonalny elaborat, prawdziwy bigos hultajski. Bergson, Renan, Taine, księżna Koburg, Marks, Pytagoras — wszystko to są dobre źródła dla uzasadnienia przemocy. Więc np. ponieważ według Bergsona, dedukcja miała niewielkie znaczenie w naukach psychologicznych i moralnych, ponieważ „w jego filozofji ruch jest rozważany jako całość nierozdzielna, przeto właśnie to nas prowadzi do koncepcji kataklizmowych socjalizmu“. Filozofja grecka nie dała rezultatów, bo była optymistyczna. Marks dokonałby jeszcze wielu pożytecznych rzeczy i przechylił się na stronę gwałtu, gdyby nie był niewolnikiem marksistów. Gwałt proletariatu nie tylko ubezpiecza przyszłą rewolucję, lecz „jest jedynym sposobem narodów europejskich — ogłupionych przez humanitaryzm — dla odnalezienia ich dawnej energii“. A już nade wszystko jest pouczającą historją socjalizmu parlamentarnego, który „gada zależnie od gatunku klienteli; inaczej do robotników, inaczej do drobnomieszczactwa, inaczej do włościan; czasem jest patryjotą, czasem przeciwko armji. Żadna sprzeczność go nie powstrzyma; podczas wyborów połączy wszelkie klasy, które powinny się zwalczać według koncepcji marksistowskich... Naprzeciwko socjalizmu krzykaczy, plotkarzy i błagierów, wyzyskujących lud dla ambicji wszelkiego gatunku... powstaje syndykalizm rewolucyjny... Stosowany odpowiednio (gwałt), usunie stróżów porządku i władców warstw robotniczych“. Wszelkie teorie, kooperatywy, solidaryzmy — „jest to środek zatopienia ruchu robotniczego w ślinie panów profesorów“.

Syndykalizm rewolucyjny, który wyłącza od współpracy wszelkie klasy pośrednie, sympatyków, studentów, agitatorów, ów „balast socjalizmu“,

a opiera się na masie „znicięciwionych męczenników“, z natury rzeczy nie może zcierpieć, żeby jakakolwiek inna partja reprezentowała interesy proletariatu. I stąd ta nienawiść do socjalizmu, a jeszcze pogłębiona karjerowiczostwem takich ludzi jak Briand, Millerand i t. d. Jedyne zadanie, według W. Griffuelhes'a, jakie syndykaliści powinni postawić socjalizmowi, jest próba Diogenesa do Aleksandra Macedońskiego: „nie zasłaniaj mi słońca“. albo też trochę wyraźniej „idź do starego djabła!“ Jeśli robotnik uzna kierownictwo ludzi obcych względem korporacji produktywnej (t. j. kierownictwo inteligencji), to pozostanie zawsze niezdolnym do samorządu, podległym zewnętrznej dyscyplinie. Zmienia się słowo, nie zmienia się treść rzeczy: eksploatacja pracowników będzie trwała nadal. Jako też trzeba postawić, że cała przyszłość socjalizmu mieści się w niezależnym rozwoju syndykatów robotniczych (Sorel).

Krytyka państwa, ustroju kapitalistycznego i uznanie walki klasowej posuwa się tu do odrzucenia patryjotyzmu. „Ojczyzną robotnika jest żołądek własny i jego rodziny“. Pouget dowodzi, że to nawet nie jest pogląd oryginalny, bo burżuazja nie waha się ani chwili lokować swych kapitałów w przedsiębiorstwach państw wrogich np. w Niemczech. Kosmopolityzm usuwa potrzebę armji, więc syndykalizm rewolucyjny rozwija szeroką agitację antymilitarną. Są tylko pewne odcienie w ich taktyce: jedni bez zastrzeżeń potępią wojskowość i żądają natychmiastowego rozbrojenia, inni zaś — ostatnio stanął na ich czele popularny Hervé — bardziej są praktyczni i sięgają po argumenty do historii. Lipiec 1789 r., sierpień 1792, listopad 1830, luty 1848, marzec 1871 — zawsze lud zwycięża, ponieważ armja przyłącza się do niego; naodwrot czerwiec 1832 i 1848, grudzień 1851, maj 1871 roku — karabiny żołnierzy zabijają rewolucję. Trzeba więc zaagitować armję, zdobyć w niej na pewien czas broń dla zabezpieczenia zwycięstwa.

Okoliczności zewnętrzne, wypadki, nastroje, jakie fala życia przynosi do pozornie zamkniętej kryjówki syndykalizmu, wywierają naturalny wpływ na popularność takich lub innych haseł. Stąd ciągle „kryzysy“. Lecz najzupełniej niesłusznie biadają ojcowie syndykalizmu na rozdźwięk w C. G. T.: gdyby rewolucjoniści zdołali pociągnąć za sobą masę, instytucja ich zostałaby zniszczoną przez władzę, a zniesławioną w pojęciach ogromnej większości Francji. W 1908 r. P. Deschanel — dzisiejszy prezes Izby deputowanych — żądał już rozwiązania C. G. T., która gwałci zagwarantowane konstytucją prawa jednostki. Słusznie oparł się temu Clémenceau, sądząc, że odrósłaby natychmiast w innej formie. W 1910 r. wielki strejk kolejarzy wraz z „inteligentnym“ sabotażem wywołał sławny aforyzm Brianda: „Ażeby złamać ten ruch, który zagraża społeczeństwu, posunę się — jeśli zajdzie potrzeba — aż do bezprawia“. Gabinet Brianda upadł. Ale pomimo tych ustępstw może jeszcze nigdy francuzi nie odczuwali tak głęboko, jak dzisiaj konieczności wewnętrznej siły. Ich myśli i ich uczucia ujął Bebel w pięknych słowach, zwróconych do syndykalistów rewolucyjnych: „Ach, nie osłabiajcie Francji! Wzmacniacie przez to drapieżność i chciwość zdobyczy w Niemczech!“

Gotuje się ciągle w tej pięknej wazie Zachodu. Czerpały z niej ludy aż do pijaństwa ma-



rzeń, lecz otrzeźwione spostrzegły, że—oprócz zawrotu głowy—żywiej bił puls ich serca. Czy ten balsam ukoi wielką niedolę pracy?

R. Dołęga.

## NARODY.

„Człowiek to ułamek większej całości, nie dający się bez niej zrozumieć“.

E. Majewski.

Deszcz, złamanie wspólnego samochodu, trzy godziny oczekiwania na pociąg do Londynu, kwaśne humory całego towarzystwa,—tak się skończyła wycieczka do pięknego zamku w Hullstow. Małe stoliki bufetu kolejowego pozwoliły rozmieścić się zaledwie czwórkami. Los mnie posadził obok jakiejś skamieniałości płci żeńskiej i naprzeciwko milczącego anglika, którego więcej obchodził porter, niż wszyscy naokoło. Wyratował z niewypowiedzianej nudy nasz czwarty towarzysz. Smągłej cery, silny brunet, ruchliwy, prawie piękny, lat trzydziestu, indus, arab, włos, czy ucharakteryzowany djabeł—nie wiem. Dość, że z jedłakową łatwością turkotał „r“ francuskie, jak i wydobywał gardłowe dźwięki samogłosek angielskich. Coprawda, popisowywał się niemi tylko przedemną, bo Anglicy przy jedzeniu milczą. Osobiście, popełniłbym nawet poważne shoking, ażeby usłyszeć po raz drugi tak złe i ciekawe paradoksy.

— Narody są mężczyzn, kobiet, dzieci i bezpłciowe. Znam dobrze Francję. No, czyż oni nie posiadają właściwości kobiecych? Paryż pachnie alkową i garderobą aktorki, to jej królestwo, świątynia, raj! Mężczyzna gienjalny może tam zginąć, kobieta piękna, zdobędzie wszystko, tracąc zaledwie to umówione troszkę...

— I stąd wniosek, że francuzi są kobietami?

— Nie.. Umówmy się naprzód, jakie cechy ma kobieta. Och, lekki szkic, dowolna próba charakterystyki... A więc jest zmysłowa, oszczędna, bez wyobraźni, lekkomyślna, pracowita. Lubi ciągle zabawy i zmiany, jest dobrą kucharką, czy smakoszką, co pan woli... Twórczość w muzyce żadna, w literaturze gust wyrobiony, ale język biedny, niedokładny, pełen sofistycznych dwuznaczników, chociaż wdzięczny. O metafizyce najmniejszego pojęcia, umysł realny z uśmiechem w stronę zabobonów. Zdolności organizatorskie niżej krytyki. Inteligencja, co tam gadać.. Uwielbia dzieci, dużo sentymentalizmu i—zdziwi się pan—okrucieństwa. Dojrzewa i starzeje się prędzej, niż mężczyzna, lecz za żadne skarby nie chce się do tego przyznać. Wielomówna i rzadko kiedy prawdą. Pokochać ją nadzwyczaj łatwo, szanuje się—wyjątkowo. Zmysłowa..., a już wspominałem. Cóż, zgadza się pan?

— Pan czytał Weininger. Zresztą słucham uważnie.

— To najgorsze, bo będę musiał być dokładnym. Talleyrand orzekł: la parole a été donnée à l'homme pour deguiser sa pensée. Który to Talleyrand stanowczo należał do mężczyzn, bo gdzież niema wyjątków. Najkrócej tedy, mógłbym zamienić w mojej charakterystyce wyraz *kobieta*

na *francuz* i równie byłoby to ścisłem. Pedagogicznie rzecz biorąc, większą ma wartość impuls dla myśli, niż przygotowana sałata zdań. Chociaż pan jako francuz...

— Ależ bynajmniej nie jestem francuzem!

— ...lubi zdania o sałacie bien fatiguée. Przy sposobności tedy zaczynam od kuchni francuskiej. Przystawki, figliki, kokieteryja, gust, różnorodność ich obiadu—czy to nie przypomina panu sukni kobiecej? Kokardy, falbanki, koronki, różnokolorowe upstrzenia materji, a w sumie nie solidnego, trwałego, nic, co miałyby cel pożytku dla zdrowia lub trwałości. Jeżeli kobieta chce się dobrze ubrać, to bierze na całym świecie mody z Francji; jeżeli mężczyzna, to nawet w Paryżu najlepszą reklamą jest nie *tailleur*, lecz *tailor*. Przecież pan także to zauważył, tylko że ja wyciągnąłem wnioski jak kolec z butelki i służę teraz napojem, który masuje pod ciśnieniem nudy na dworcu w Hullstow...

Niech pan spojrzy na terazniejszą kobietę: stopy zgniotła w bucikach, nogi spętała w wąskiej spódnicy, korpus ściśnięty w gorsecie, z natury niezbyt silną głowę obciążyla piramidą kapelusza, który jej zasłania cały świat... A propos, czy pan wie, że gdyby wieżę Eiffla zamknąć w cylindrycznym odpowiedniej wielkości pudełku, to powietrze wewnątrz zawarte ważyłoby dwa razy mniej, niż sama wieża. A kapelusz kobiecy waży czasami dziesięć razy więcej, niż powietrze w jego pudełku. Innemi słowy pięć słaba nosi na głowie konstrukcję pięć razy cięższą, niż wieża Eiffel. Ratuje kobietę od zgniecenia względność masy, a od śmieszności względność nasza...

Już kiedy mówię o liczbach, to przytoczę panu urzędową statystykę słownika francuskiego według akademji paryskiej. Ogółem mają oni 32,000 wyrazów. W tem pochodzenia cudzoziemskiego i naukowego—jak np. mikroskop—jest 20,000; wyrazów pochodnych od źródłosłów—6,000, a tylko 3,800 słów zasadniczych, tworzących jądro języka, z których potworzyły się poprzednie. Cóż za nędza! Czy dziwić się, że arystokracja świata t. j. klasa najbiedniejsza w uczucia i pojęcia ludzkie wybrała ten język? Szkoda, że nie wiem, wieloma dźwiękami rozporządzają małpy człekokształtne... Skutkiem tego właśnie powstała u nich masa dwuznaczników i sofizmatów czysto kobiecych, ale—ładnie brzmiących. Niech—no pan spróbuje przetłumaczyć wyraz *le coup*;

— Przepraszam za uwagę, lecz albo pan był nieszczęśliwy przez kobietę, albo coś panu francuzi zawinili.

— Jeszcze gorzej, bo jestem żonaty z francuską! I nie wiem, czy zarażam się gadatliwością, dlatego że żona jest francuską, czy też francuzi wogóle tak dużo mówią, ponieważ są kobietami. A jacy praktyczni, jacy realni, oszczędni, materjaliści, dusze skrzętnych gospodyń od drobiu. Naród bez krzty wyobraźni, co nietylko potwierdza ich jałowość w muzyce, ojcostwo filozofji pozytywnej, ignorancja w metafizyce, ale nade wszystko bezbarwność stylu największych ich mistrzów. Tak, proszę pana. Język boż porównań, personifikacji, przenośni, zadawałujący się tylko zestawieniem paradoksów i superlatywów. A że literatura sławna... Ech, przecież to ich położenie na rozstaju dróg świata, ich klimat, gleba, stworzyły jedną z pierwszych cywilizacji, lecz nie gienjalność narodu. Jeżeli będziemy bardziej oględni w szafowaniu tytułem na gienjusza, to francuzi nie mają ani jednego. Niemcy—Goethego,



Kanta, Bethovena, anglicy Szekspira i Newtona, włosi—Galileusza, słowianie—Kopernika, a francuzi?

— Napoleona...

— Gienjusz, proszę pana, jak wskazuje samo pochodzenie wyrazu musi być twórczym. A co zostało po Napoleonie? Kodeks, którego on nie napisał i pycha, która istniała zawsze. No i legienda. Żeby z tylu zwycięstw, z takiego gwałtu i uwielbienia nie stworzyć chociażby wewnętrznej siły państwa, bo już nie mówię o trwałych zdobyczach, trzeba być tak złym organizatorem, jak—jak kobieta. Chwilowe uniesienie, słomiany ogień. W rzeczywistości cała gienjalność mężów Francji polega na bon mot. Dł prawdy nie wiem, co orzekł np. Karol Wielki. U nich zaś niema sławy bez dowcipu, aforyzmu, przechowywanego z dumą przez wieki.

— Jednakże ich słomiany ogień rozpałił cały świat nowych myśli. Powtóre przypominam, że w organizowaniu życia o lepszych formach, tylko francuzi robili próby. Pomijając Owena, który był raczej zacnym przemysłowcem, ze wszystkich utopistów w historii, jedynie Cabet i Fourier stworzyli praktyczne urzeczywistnienie ideałów społecznych.

— Na długo? Parę lat marzeń, które nie posunęły ani na krok postępu, a może nawet go opóźniły, wywołując zniechęcenie do doświadczeń. To zły argument. Dla nich organizacja państwa i społeczeństwa jest prawie—że kwestją mody. Czyż to nie zakrawa na głupotę, na lekkomyślność dziecka lub wietrznicy, żeby od końca XVIII wieku mieć wiele królestw, kilka republik, parę cesarstw, komuny i laboratorja falansterów. Ikarji i t. p. aż w Ameryce? Tak można zmienić kapelusze lub spódnice i to pod groźbą kpin. Osobiście oburzałbym się szczerze, gdybym nie wpadł na odkrycie, że francuzi są kobietami: tym można wybaczyc. Najlepiej zaś byłoby wydać zamąż.

— Za naród mężczyzn?

— Samców, panie, silnych samców. Tego wymaga wrodzona zmysłowość francuska—czy kobieca. Cała bieda, że Francja już jest stara, powiedzmy porówna, że 50-tetnia dziewica. Dla mężczyzny jestto jeszcze piękny wiek, dla kobiety i do tego nienormalnej—smutna starość. Jak zużyta morfinistka odnawia swe siły mocnymi dawkami rewolucji, ale gra coraz gorzej rolę młodych amantek na scenie świata. Maluje się, naprawdę, kryguje nieboraczka, ale powodzenie zapewnia jej płatna kława. Pieniądzy może wystarczy, ale wdzięków zabraknie. Zresztą, zostawmy proctwa, przeszłość jest jaskrawa. I cóż? Rozpałili cały świat nowych myśli. Ładne zdanie... A rozmaite Beatrycze, Laury, Julje, Anny czyż nie były powodem do najcudniejszych poematów, najwznioślejszych czynów, najgłębszych koncepcji? Dziwna byłaby logika, przenosząca zasługę Petrarki na jego luba! I tutaj więc analogja moja wytrzymuje nacisk pańskiej uwagi.

— Ale moja uwaga źle wytrzymuje nacisk pańskiej analogji. Ponieważ jednak niewarto z dowcipnych paradoksów robić nudnej sprzeczki i, zresztą, domyślam się dalszych porównań, przeto czy nie mógłbym się z kolei dowiedzieć, kto będzie reprezentował mężczyzn?

— Bardzo wiele narodów, lccz przedewszystkiem anglo-sasi. Znowu niech pan weźmie główne i ogólne cechy męskie, np. egoizm, energia, twórczość, rządność, a natychmiast łatwo je przeszczerpić na grunt angielski lub amerykański.

— A dzieci?

— Słowianie. Dzikie, nierozsądne, nieumyte, czasem marzycielstwo i przesadne, wogóle najrozmaitsze dzieciaki. Mało ich znam i bo ja wiem, co tam z tego wyrośnie...

— Pozostał nam jeszcze naród bez płci. Tutaj, przyznaję się, moja domyślność jest bezradną.

— No, żydzi przecież! Eunuchy w wielkim haremie kuli ziemskiej, który przez grzeczność nazywamy Europą.

— Nic nie rozumiem.

— Proszę pana, ten wzór daje się haftować tak subtelną nitką osobistych wrażeń, że nie mogę zacząć roboty—na dziesięć minut przed odejściem pociągu. Softly!

Rozstaliśmy się. Miałem dziwne wrażenie, że mój towarzysz zrobił zjadliwą karykaturę z najpotężniejszej koncepcji naukowej ostatnich czasów: mało znana w Polsce, ponieważ autorem jest E. Majewski, który—krótko mówiąc—dowiódł, że naród jest jednym organizmem żyjącym (bez przemożności). A zapomniałem się zapytać go, rozmyślając o narodzie dzieci.

Otóż, proszę sobie wyobrazić, że los mnie zetknął z owym anglikiem, który siedział przy naszym stoliku i który okazał się—polakiem. Doktor N., od lat dziesięciu zamieszkały w Londynie. Zagadnąłem go, dlaczego tak milczał jak najprawdziwszy anglik.

— A bo mnie irytował ten żyd...

— Kto taki?!

— No, pański rozmówca. Handlarz pereł, nazywa się Zamojski i podobno z Wilna...

Do licha! Jakież ten świat mały!

Paryż.

J. Hankiewicz.

## O nas i o naszym kraju.

(Leon Wasilewski.—*Litwa i Białoruś. Przeszłość. — Terazniejszość. — Tendencje rozwojowe.* Kraków. Spółka nakładowa „Książka“).

O nas, o naszym kraju, o naszych zagmatwanych stosunkach ostatnimi czasy prasa polska w Królestwie, a szczególnie w Galicji rozprawia bardzo chętnie. Powitałby należało ten objaw pożądanym, jako nawiązanie rozluźnionych mocno więzów między dwiema połowami dawnej Rzeczypospolitej, gdyby wzrostowi zainteresowania odpowiadała w równym stopniu dokładność informacji i zrozumienie ewolucji, jakiej uległy Litwa i Białoruś w ciągu drugiej połowy wieku XIX.

Niestety artykuły i rozprawy dotyczące naszych spraw przeważnie grzeszą brakiem orientacji w spóczesnych stosunkach polityczno-społecznych na Litwie i bez wyjątku niemal są nacechowane romantyzmem, datującym się jeszcze z czasów przedpowstaniowych. Dla inteligencji polskiej z tamtej strony Niemna i Buga kraj nasz wciąż jest jeszcze „ziemią pagórków leśnych, ziemią łąk zielonych“, opromienioną świetlaną tradycją Unji lubelskiej, nad którą czuwają duchy klucznika i kwestarza, strzegąc ją od wszelkich przeobrażeń.

Litwa, jako kraina przeszłości, jako ojczyzna Mickiewicza i filaretów, jako katakumba bohate-



rów i męczenników, jako źródło natchnień poetyckich—zajmuje poczesne miejsce w literaturze i publicystyce polskiej. Litwa, jako teren młodych ruchów litewskiego i białoruskiego, jako retorta, w której odbywa się proces różniczkowania się narodowościowego, jako placówka kultury polskiej, szukającej tu dla siebie w ciężkiej walce o byt nowych dróg i systemów—jest zgoła nieznaną i obcą ogółowi polskiemu.

Twarda i powszednia rzeczywistość, daleka od pogodnych sielanek i wstrząsającej martyrologii nie nęci bynajmniej, by zajrzeć jej w oczy bez złudzeń. Skomplikowany układ naszego życia odstręcza mniej gruntownych obserwatorów od zagłębienia się i dotarcia do jądra kwestji. Stąd płyną najopaczniejsze sądy i w zdumienie wprawiające swą naiwnością rozumowania.

Dziwić się zresztą trudno publicystyce warszawskiej lub galicyjskiej, gdy i nasza wileńska niechętnie dotyka skalpelem analizy zagadnień krajowych, poprzestając na płytkich komunałach i nie mogąc się wyzwolić z pęt ideologii szlachecko-klerykalnej.

Nietylko więc dla inteligencji polskiej w Królestwie, Galicji i Poznańskim, lecz i dla przeciętnego czytelnika „Kurjera Litewskiego“ dzieło p. L. Wasilewskiego, dając zarys syntezy naszego kraju, stanowić musi cenne źródło informacyjne, pociągające swą sumiennością, gruntownością i możliwym obiektywizmem w traktowaniu drażliwych tematów w dziedzinie antagonizmów narodowościowych.

Z niemalym talentem literackim i jasnością stylu (cechującą zresztą całe dzieło) traktuje autor część historyczną, odnoszącą się do stosunków polsko-rusko-litewskich przed i po Unji.

Rywalizacja dwóch kultur: zachodniej, której pionierem była Polska oraz bizantyjskiej, którą szerzyły na terenie ziem litewskich wpływy ruskie—doznaje tu oświecenia bezstronnego i pozbawionego cikliwego sentymentalizmu.

Po historycznym wstępie i zwięzłym przedstawieniu zmian zaszłych w epoce porozbiorowej przechodzi p. Wasilewski do teraźniejszości, której obie strony zarówno ekonomiczna jak polityczna zostały potraktowane z wielką znajomością rzeczy.

Z natury rzeczy najwięcej miejsca w książce zajmuje omówienie ruchu narodowego litewskiego. Nie posiadając języka litewskiego, autor był zmuszony korzystać ze źródeł wyłącznie polskich, nie zawsze odznaczających się wiarygodnością, szczególnie odnośnie wypadków z ostatnich kilku lat. Natomiast ogólny pogląd na ruch litewski jest niezwykle trafny, do czego niewątpliwie przyczynił się pierwszorzędnej wartości materiał, zawarty w pracy M. Römera o „Litwie“, z którego p. Wasilewski korzystał, jak sam się przyznaje, nader obficie.

W zupełnie dokładny sposób podaje nam autor obraz zdobyczy kulturalnych ruchu białoruskiego. Sięgając w przeszłość, zaznacza różnice żywiołów, biorących udział w tym ruchu ongiś i obecnie. Osobny wreszcie rozdział poświęcony został Łotyszom, rusinom, rosjanom i żydom. Rozwój każdej poszczególnej narodowości i stosunek jej do innych znajduje należyte oświetlenie.

Zamyka książkę trafna charakterystyka społeczeństwa polskiego na Litwie i Białejrusi.

Podnieść należy rzadkie zrozumienie specyficznych przejawów naszego życia, jak np. „krajowości“ i „tutejszości“. Wszystkie ważniejsze

przejawy kultury polskiej zostały uwzględnione. Prądy i kierunki panujące na naszym gruncie uchwycone zostały, mimo, że autor nie stykał się z nimi bezpośrednio, z niezwykłą przenikliwością.

Wszystko to czyni z dzieła p. L. Wasilewskiego cenny nabytek informacyjny dla każdego, kto poznać pragnie nasze stosunki, kto nie chce aby Litwa i Białoruś były dlań *terra incognita*.

L. A.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

## Z księgi ciszy.

### Sadzawka.

*Stońce jakgdyby mgłami nadąsane  
Blasków purpurą mieni się w sadzawce,  
A nad nią wicher huczy na odmianie  
I liście kwiatów nosi jak latawce.*

*I ma sadzawka jakby twarz wrażliwą  
I pokazuje gniew, co chce wybuchnąć,  
Ma prędkie usta — fale, rwące żywo,  
Jako wymówki, które trza wysłuchać.*

### Dusza Twoja.

*W zakresie ciasnym, w wątplym kształcie z gliny,  
Kropelka fali światła kotysana,  
Trwa dusza Twoja, stając się przez czyny...  
Z wieczności morza przyskająca piana.*

*Gdy spełnisz wielki czyn lub wielkie słowo,  
To gra tej fali w Tobie odblask święty,  
Gdy zbrukasz serca szatę kryształową,  
To w Tobie burzą się tej piany męty.*

## Z mego notatnika.

### Dzikie pretensje.

Ilekróć prasa polska postępową wytyka klerowi katolickiemu jego grzechy, natychmiast z okopów św. Trójcy rozlega się patetyczny głos, oskarżający o spóldziałanie z reakcją rosyjską, o ułatwianie rządowi naganki anti-katolickiej. Argumentem tym nasi przeciwnicy lubią się posługiwać przy każdej sposobności, należy więc wreszcie wykazać jego bezzasadność.

Weźmy ostatni przykład.

Przed kilku tygodniami przytoczyliśmy jako wymowny dowód nletołrancji, oburzający fakt odmowy rozgrzeszenia za czytanie „Głosu Wileńskiego“. Na fakt ten powołał się „Wileńskij Wiestnik“, by poprzeć swe twierdzenie, że księża wy-



wierają nacisk na swych parafjan, zmuszając ich do przyznawania się do narodowości polskiej...

Gdzie Rzym, gdzie Krym?

Jaką drogą logiczną półurzędowiec wileński doszedł do powyższego wniosku — jest to już tajemnicą jego psychiki niezbyt zresztą skomplikowanej. Nam by się zdawało, że z faktu przez nas przytoczonego należy wyciągnąć wniosek wprost przeciwny, a mianowicie, że duchowieństwo nasze nie tylko nie szerzy kultury polskiej, ale gdzie może stawia jej tamy, zwalczając rzetelną oświatę i utrwalając w masach, za pośrednictwem swych wydawnictw, ciemnotę i wstręt do zdobyczy cywilizacji.

Oczywiście „Wil. Wiestnik“ z jeszcze większą zaciekleścią napadałby na wpływy inteligencji polskiej, gdyby ta miała umożliwiony dostęp do ludu chociażby w tej mierze, co księża. Ale że obecnie świeckich wpływów polskich reakcja rosyjska się nie obawia, więc chętnie powołuje się na niezależne głosy, protestujące przeciwko rozwielmożeniu się klerykalizmu, by przy tym ogniu swoją pieczeń upiec.

Perfidja „Wil. Wiestnika“ jest aż nadto wyraźna dla każdego nieuprzedzonego czytelnika. Trudno posadzić kierowników „Gazety Codziennej“, by przy całej swej ograniczoności, nie dostrzegli sztuczności wywodów „Wil. Wiestnika“. Zamiast jednak wytknąć tę niekonsekwencję i wytłumaczyć wyraźnie, że walka z niezależną myślą polską w żadnym razie nie może uchodzić za przejaw działalności polonizatorskiej, „Gazeta Codzienna“ rzuca się arogancko na nasze pismo, zarzucając mu z jednej strony gołosłownie — fałsz, z drugiej zaś — „uściski braterskie“ z „Wil. Wiestnikiem“.

Na złą wolę niema lekarstwa.

Gdyby jednak względ na to, że rosyjska prasa reakcyjna skrętnie wyławia wszystkie ujemne zjawiska w społeczeństwie polskim, miał decydować o naszym stanowisku, w takim razie mielibyśmy usta zakneblowane i zamiast krytyki zmuszeni byłibyśmy do potakiwania milcząco wszelkim nadużyciom. Pretensja zaiste śmieszna!

Kto chce uderzyć, ten kij zawsze znajdzie, i doprawdy fakt przez nas przytoczony najmniej może się przydać działaczom kresowym rosyjskim jako broń w walce z duchowieństwem polskim, z którym w zakresie tłumienia opozycji społecznej idzie zgodnie ręka w rękę.

Czym jest większym sprzymierzeńcem reakcja rosyjska: postępców czy klerykałów — mieliśmy dowód podczas wyborów ubiegłych, gdy rząd uczynił wszystko, by ułatwić zwycięstwo ks. Maciejewiczowi.

„Ruskij Izbiratiel“ zaś, organ p. Zamysłowskiego, z zachwytem stawiał jako wzór do naśladowania metody agitacyjne, któremi się posługiwała „Gazeta Codzienna“ i jej gorliwi zwolennicy.

Nie uważaliśmy jednak za stosowne czynić wówczas z tego zarzutów „Gazecie Codziennej“.

### Różne posterunki.

Przed niedawnym czasem „Kurjer Litewski“ podał wiadomość, że p.p. Gordziałkowscy sprzedali w ręce rosyjskie ogromne dobra Waławsk, położone w pow. mozyrskim. Wszystkie niemal pisna

powtórzyły tę notatkę, obciążając nazwisko p.p. Gordziałkowskich piętnem sprzedawczykostwa.

Z wyjaśnienia jednak, zamieszczonego następnie w tymże „Kurjerze Litewskim“ przez jednego z p.p. Gordziałkowskich okazało się, że ciężki zarzut frymarczenia ziemią jest najzupełniej nie słuszny. Przedewszystkiem w miejsce sprzedanego Waławsk p.p. Gordziałkowscy nabywają wielkie dobra Ostrohlady, dziedzictwo słynnego oboźnego Karola Prozora, będące od kilkadziesiąt lat w ręku rosyjskim, powtórę ów Waławsk, położony na głuchem Polesiu wśród błot i piasków, obciążony jest serwitutami i czynszami prawosławnych dzierżawców, którzy nabyli dla swych kolonji prawa własności. Nabywca prawdopodobnie zakupił majątek w celu rozparcelowania go wśród ludności miejscowej.

W tem świetle transakcja ta przedstawia się zgola inaczej i nie może być uważana za ujemny czyn obywatelski. Należy więc być bardzo ostrożnym z szafowaniem lekkomyślnych oskarżeń, które rzucają cień, nie łatwy do usunięcia.

Przy tej sposobności należałoby wogóle poddać rewizji i ustalić pojęcie sprzedawczykostwa. Panuje bowiem pod tym względem pewne szablonowe uogólnianie, nie liczące się z istotnym stanem rzeczy.

Mianem sprzedawczykostwa chrzeić przyjęto sprzedaż w obce ręce ziemi *polskiej*, a przynajmniej pozostającej w rękach polskich w tych dzielnicach, gdzie kultura polska ma jakąś przyszłość przed sobą. Czy można uważać za teren, odpowiadający tym wymaganiom — kresy mohylowskie, witebskie i mińskie? Czy mogą one uchodzić chociażby w przybliżeniu za ziemię polską? Czy nie czas już wykreślić ich z obszaru t. zw. kraju zabranego, jako bezpowrotnie straconych dla wpływów kultury polskiej?

Zapewne rozgraniczenie takie obecnie jest bardzo trudne, bo któż potrafi wytknąć ściśle ową granicę? Osobisty zaś pogląd w tej kwestji może doprowadzić do zupełnej dowolności i zaniku wszelkiej odpowiedzialności. Niewątpliwie jednak każdy znający nasz kraj rozumie doskonale różnicę między sprzedażą w obce ręce kawałka ziemi w gub. wileńskiej i gdzieś w Pińszczyźnie, dajmy na to.

Pewnem kryterjum mogła by tu być rola Banku Włociańskiego w danej okolicy. O ile Bank posiada tendencję sprowadzania kolonistów z głębi Rosji, wyzbywanie się ziemi przez polaków nie może być w żadnym razie dopuszczalnym, o ile zaś, jak właśnie na kresach wschodnich naszego kraju, polityka tego rodzaju nie jest stosowaną i majątki są parcelowane między włocian miejscowych, kwestja sprzedaży ziemi traci swój ostry charakter, bo wszakże trzeba się liczyć z naturalnym procesem ekonomicznym rozdrabniania się własności ziemskiej, którego żadne zakazy moralne nie powstrzymają.

W żadnym zaś razie nie może być stawiana w jednym rzędzie frymarka ziemią *polską* w Poniańskim i cofanie się szlachty polskiej z kresów *biatoruskich*.

W Warszawie tej różnicy mogą nie dostrześć, ale dla nas ona jest wyraźna.

Licz.



## Towarzysz pracy.

Z d. 1 grudnia zaczęła wychodzić w Wilnie gazeta dwugroszowa p. t. „Kurjer Krajowy“.

Potrzeba popularnego i taniego pisma dla szerzenia w masach zasad demokratycznych, dla zwalczania oportunistycznej i nacjonalistycznej ideologii, wpajanej przez „Kurjer Litewski“, i „Gazetę Codzienną“ — była oddawna przez nas odczuwana.

Potrzebie tej pałacej obecnie stało się zadość.

Nowy dziennik potrafi niewątpliwie dotrzeć tam, dokąd wpływy naszego pisma, z natury rzeczy, sięgnąć nie mogły. Nie konkurencyjnym więc spółzawodnikiem będzie, lecz towarzyszem pracy, idącym, mamy tę nadzieję, z nami ręką w rękę.

Hasła programowe, przy których w słowie wstępnie opowiedziała się redakcja „Kurjera Krajowego“ — upoważniają nas do tego mniemania. Nie różnią się one bowiem zasadniczo od tych, którym od początku swego istnienia hołduje „Przeгляд Wileński“.

„Wspólna dola, wspólne potrzeby i zadania łączą demokracje poszczególnych narodów. Wyzwolenie z nędzy odwiecznej — materialnej i duchowej, co jarzmo ciężkie na barki ludu wkłada — oto zadanie demokracji. Praca dla ludu przez lud, praca twórcza a zgodna — to droga ku wyzwoleniu“.

Słowom tym tylko przyklasnąć możemy. O ile pismo nie zejdzie z wytkniętej drogi, o ile w walce z zachłannym nacjonalizmem nie przekroczy linii demarkacyjnej, po za którą czai się drugie niebezpieczeństwo — indyferentyzm narodowy, ma ono niewątpliwie przed sobą doniosłą misję kulturalną i wszelkie widoki powodzenia.

Witamy więc nową placówkę demokratycznej myśli polskiej w naszym kraju ze szczerem sercem i życzymy jej jaknajpomyślniejszego rozwoju.

„Kurjer Krajowy“ kosztuje w Wilnie rocznie 3 r. 50 k., z przesyłką pocztową 4 rb.

Adres redakcji i administracji: Wilno, ul. Wileńska № 15.

## TEATR ZIMOWY.

(„Dobrze skrojony frak“ krotchwila G. Drégely).

Pokazano nam „Dobrze skrojony frak“.

Przypuszczam, że mógłby do węgierskiego autora tej sztuki, pana Gabrjela Drégely, podejść któryś z naszych pocziwych mecenasów, luźno popierających teatr w chwilach wolnych od zajęć... zawodowych i że mógłby się zawiązać dialog treści mniej więcej następującej:

— Pan jest autorem „Dobrze skrojonego fraka“?

— Ja.

— Panie, czyż to możliwe...

— Co mianowicie?

— Taka historia z frakiem...

— Panie. Ja przecież napisałem tylko farsę.

— No, tak... ale przecież to się nie zdarza, żeby krawiec zostawał ministrem!

— Sądzi pan? Bywało jednak, że ministrami zostawali nauczyciele ludowi i piosenkarze z artystycznych kabaretów.

— Hm.

— Zdarza się przecież i w ojczyźnie pana,

że wierutny osieł, byle miał tupet niezbędny, zostaje dyrektorem jakiejś poważnej instytucji?

— Bywa.

— A może pan słyszał o posłach, którym brakło konceptu dla wypowiedzenia mowy własnej — więc wypowiadali — cudze.

— O, tak!

— Eh, bien? Wybacz pan mojemu czeladnikowi krawieckiemu, Antoniemu Melcerowi, że awansuje w mojej sztuce tak szybko. Zwłaszcza — że to awans tylko na cztery krótkie akty krotchwili, i że te cztery akty teatr wileński gra we właściwie szybkim tempie. Więc o cóż chodzi?

— Ano...

DIALOG taki starczyłby zgoła za usprawiedliwienie fabuły: niech wystarczy.

Główną rolę grał p. Pawłowski. Zadanie miał wdzięczne. Potrzebny tu humor — nie zbywa mu na nim; potrzebna werwa i temperament: ma jedno i drugie.

Jedyny szkopuł, o jaki mógłby się rozbić efekt artystyczny, to nieobca naszemu artyście tendencja traktowania pewnych ról w sposób nazbyt popularny.

Antoni Melcer p. Pawłowskiego uniknął wszelkiej szarży: podniosło to styl gry całego zespołu.

Bardzo dobrą była w roli Emmy Rainer p. Rommówna.

Dała grę spokojną i dyskretną.

Występ p. Elkorn jest jednocześnie debiutem tej młodzieńczej artystki w zakresie salonowym: wypadł jaknajpomyślniej.

Dobre były p. Wrześniowska i Wojciechowska.

Z wykonawców ról męskich wymienię panów: Kiernickiego, Norskiego, Bielicza (operował efektami komicznymi bardzo trafnie), Skąpskiego, Szlagowskiego, Cornobisa, Jerzyńskiego.

Trudno jest wymagać od zespołu, pracującego jednocześnie w dramacie, komedji i krotchwili, aby celował we właściwym tej ostatniej błyskawicznym tempie i posiadał niezawodną, lekką błyskotliwość.

Konstatuję jednak, że „Dobrze skrojony frak“ grano, jak na nasze warunki — wybornie.

Na zakończenie drobna uwaga. Akcent wybitnie semicki, jakim mówią w tej sztuce poszczególni aktorzy, jest najzupełniej zbyteczny: nie zapominajmy, że salon baronostwa Rainerów, w którym bywają autentyczne ekscelencje, jest salonem parweńjuszów wielkowiejskich. To nie prowincja. To Wiedeń.

Z. Kl.

(„Ojciec“ dramat A. Strindberga, „Urjel Acosta“ tragedia K. Gutzkova).

W zeszłym sezonie zimowym mieliśmy do zarzucenia dyrekcji pp. Pawłowskiego i Strycharskiego, iż w pogoni za zyskiem doraźnym zaniedbywała stronę artystyczną. Zarówno wystawa poszczególnych sztuk, jak repertuar nie stały na wysokości zadania.

W obecnym sezonie słuszną każe przyznać, dyrekcja czyni wszystko, by zarzutów tych uniknąć. Wystawa, jak na środki naszego teatru, przeważnie zadowolili może nawet gusta wybredne, repertuar zaś dotychczasowy opracowany został



z uwzględnieniem potrzeb nie tylko tłumów, żądnych zabawy, lecz i publiczności inteligentnej, szukającej na scenie głębszych wrażeń uczuciowych i myślowych.

Niestety, wymagania naszej publiczności teatralnej widocznie nie dorosły do tego poziomu. Powodzeniem bowiem cieszą się tylko sztuki lżejsze, nie poruszające tematów o silnym napięciu dramatycznym. „Warszawianka” stanowi wprawdzie pod tym względem wyjątek, ale ta powodzenie swe zawdzięcza zgoła wyjątkowym warunkom i nie może być brana w rachubę. Natomiast sztuki zarówno z repertuaru klasycznego, jak „Otello” i „Urjel Acosta”, czy z repertuaru nowoczesnego jak „Ojciec”, rozgłośny utwór pisarza skandynawskiego — nie są zdolne zgromadzić większej ilości widzów i upadają po paru przedstawieniach.

Czyż wobec tego można rościć do dyrekcji pretensje, jeżeli nie chce narażać działówki na straty i poprzestanie na „Zuchach krakowskich”?

Abstynencja tembardziej jest nieusprawiedliwiona, że w obecnym sezonie teatr posiada pierwszorzędne siły dramatyczne w osobach pań: Arkawinówny, Podgórskiej i p. Knake-Zawadzkiego.

Dzięki nim obie ostatnie nowości repertuarowe odniosły wielki sukces artystyczny. Szczególniej da się to powiedzieć o „Ojcu”, sztuce wysoce nastrojowej, gdzie każde najdrobniejsze odchylenie się w grze musi wywołać przykry zgrzyt. Rola Urjela Acosty nie jest zupełnie odpowiednia dla p. Zawadzkiego, mimo to artysta wywiązał się z zadania całkiem poprawnie.

Drobnych usterek w wystawie oraz grze innych artystów nie będę wymieniał, gdyż nie piszę fachowej oceny, jeno pragnę podkreślić zasługujące na uznanie wysiłki towarzystwa, w kierunku uczynienia ze sceny wileńskiej prawdziwego przybytku sztuki.

*Zastępca.*

## W gnieździe „Orlecia”.

(Garść impresji).

W sobotę, 1 grudnia wyszliśmy z teatru pod wrażeniem premjery „Orlecia”.

Mieliśmy sposobność konstataowania ujmującego, młodego i szczerzego talentu p. Węgierki, który przeszedł wszystkie nasze oczekiwania, dając kreację nad wyraz żywą i pełną uroku; mieliśmy dalej do zanotowania wyborną grę wykonawców poszczególnych ról; zachwycaliśmy się wreszcie inscenizacją Ruszczyca, który włożył w plastyczne ramy utworu takie kolory i ornamenty, które mógł dać jedynie jego wielki talent.

Na premjerze mówiono wiele i z uznaniem o pracy Ruszczyca, o niestrudzonej energii dyr. Pawłowskiego, o prawdziwie wybitnej zasłudze naszych artystów: podnosiła to potem prasa w recenzjach o „Orleciu”, dając wyraz wdzięczności za to, co było zrobione — mimo szczupłe środki i piętrzące się zewsząd trudności natury wprost technicznej.

Ale to się przecież zapomina... Pozwól więc czytelniku, że ci opowiem coś niecoś z momentów, poprzedzających premjerę: zajrzyj wraz ze mną za kulisy teatru.

Wejźmy przez drzwi intymne, na których

widnieje napis: „osobom obeym wstęp surowo wzbroniony”. Sądzę, że nam wybaczą. Dla ścisłości zapamiętajmy, że mamy 29-go listopada — a więc za dwa dni premjera „Orlecia”. — Dobrze?

Godzina 2 w nocy. Cicho.

Przymrozek jesienny ubielił gmach cyrkowy, gdzie się prowizorycznie zakwaterowała nasza muza dramatyczna.

Stajemy u drzwi. Pusto.

Zapewne w teatrze niema żywej duszy? O tak późnej godzinie... Ale wejźmy.

W sieni pełga prymitywna lampka; uśpiony wigil teatralny ogłasza swą obecność rżęśnięciem chrapaniem.

Przez ciemne szatnie idziemy naokoło: korytarze słabo oświetlone śpią; pusto w garderobach artystów.

Dochodzą nas głosy skądś...

Szukając ich źródła — wstępujemy po schodach na scenę — i stajemy oślepieni potokiem światła.

W blasku lamp elektrycznych i kilku lamp zapalonych — wre gorączkowa praca. Patrzmy.

Na podłodze rozłożono płachtę dekoracji: akt IV, któryśmy tak podziwiali z widowni.

We wszystkich kierunkach — pozornie bezcelowo — chodzi po scenie Ruszczyca. Tu się dotknie pendzlem — tam zatrzyma się dłużej — maluje. Cofa się w tył — porównywa efekty płótna ze szkicem, który ma obok na małym kartonie.

Przykłęka. Zagłębia się w studjowanie ogromnego albumu z fotografiami Schoenbrunn, rozłożonego na podłodze.

Za Ruszczycem snuje się garstka teatralnych dekoratorów, maszynistów.

Malują, przymierzają, podnoszą i usuwają płótna i rekwizyta.

Widzimy, iż pracę, którą gdzieindziej podejmuje cała armja ludzi — tu *prawie sam* prowadzi nasz artysta.

Wchodzi dyr. Pawłowski.

Dowiadujemy się, że wspólnie z Ruszczycem spędza tu niejedną bezseną noc.

Zaczyna się — gdy wyjdą z teatru po przedstawieniu ostatni widzowie — kończy się — kiedy na dobre bieli się dzień.

Zajrzyjmy teraz do składów teatralnych.

— Jakież śliczne meble stylowe!

Tak... malownicze tu, w teatrze: pokryto je za wskazówkami Ruszczyca.

— A te?

Te Ruszczyca pożyczyl od znajomych.

— Te? Nabyto okazujnie.

I tak dalej.

Noc się kończy. Niebawem zaświta. Śpieszmy do snu, bo próba jeneralna, na którą nas zaproszono ma się rozpocząć o 10 rano. Punktualnie.

Spóźniliśmy się. Szkoda! Pewnie już rozpoczęto.

— Nie? Dlaczego? Ach, to krawiec teatralny spóźnił się z kostjumami.

Artyści nasi — w charakteryzacji — niektórzy, raczej niestety: (kostjumy pań są gotowe) — w przygotowaniu stylowym — czekają na próbę.

Podnosi się batuta reżysera: dzierży ją energicznie p. Pawłowski.

Próbę zaczęto.



Godzina dwunasta... pierwsza... druga... trzecia, czwarta, piąta — próba trwa.

— Prędejj, prędejj. Kończmy. Wszak wieczo-rem spektakl. Część artystów jest zajęta w „Grze serc“.

I próba kończy się — zaś niebawem ustawiono dekorację do sztuki Kiedrzyńskiego, a publiczność oklaskuje wykonawców, nie podejrzewając zgoła, że przez noc całą malowano, krajano, szyci — przez cały dzień — w maskach i kostjumach — staczano uciążliwą potyczkę przedwstępną sześciu aktom „Orlecia“ — zaś teraz — ci sami artyści — Arkawinówna, Pawłowski, Węgierko, Czarnowski, Kiernicki — i wielu, wielu innych — stoją w świetle kinkietów, by wyczarować z cudzych słów i martwych kulis to, co stanowi teatru treść, teatru urok głęboki: prawdę w złudzeniu.

Czytelniku.

Znasz zapewne bohaterstwo i prace wiekopomne, o których pamięć zostaje i trwa.

Niemasz tu takich.

Znasz może arcydzieła teatrów europejskich.

Może widziałeś olbrzymie w pomysły i środkach, bajeczne ucieleśnienie inwencji Reinhardta, albo arcydzieła berlińskiego Lessingteater, albo gienjalne, głęboko przemyślane i wyczone prace teatru Stanisławskiego?

Może widziałeś niejednokrotnie przepych baletu rosyjskiego i bogactwo teatrów cesarskich...

Znasz grę boskiej Sary Bernhard, może widziałeś, jak gra Duze i Guitry, i Stanisławski i Sawina i Lore Busch i Lehmann?

Doskonale.

Racz, miły czytelniku, zapamiętać, w jakich warunkach pracuje teatr polski w Wilnie.

Przyjrzyj się temu, co daje, a gdy zasługę poszczególnych artystów i całego zespołu pomnożysz dziesięćkrotnie przez sumę każdorazowego wysiłku — homerowych bojów, staczanych o... fotel stylowy, lub kostjum, wierny epoce — gdy zważysz stosunek pracy i środków, przyjdzie ci zapewne myśl ta sama, co i mnie:

Pracy tych ludzi na tej placówce winniśmy nietylko platoniczną wdzięczność!

Pomysł o społeczeństwie tak często cytowanym „stanie posiadania“ — i wysnuj stąd wnioski.

Tyle powiem.

Resztę dośpiewacie sami.

Zdzisław Kleszczyński.

## Kwiaty.

*Nie życiem kwiatu my!*

*Nie kwiatów w nas słoneczność,*

*Nie smukłych todyg strzał!*

*My własnej piersi szal,*

*I własnej doli wieczność,*

*I własnej prawdy tzy!*

*O kwiaty! — gdzie wieniec wasz?...*

*Gdy się nad wasze głowy  
Rozniesie szum wichru jałowy,  
Tonami wichrowych sił  
W nas serca nasze zajękną,  
Że ziemi obrzuca nas pył,  
Że słońce spaliło nam twarz,  
Że krwawe urasta w nas piękno!*

*O kwiaty! gdzie wieniec wasz?  
Gdzie czarów — gdzie woni skarb?  
Hej — wichry powiały nam w twarz...  
Ku słońcu unosi was piękno  
Kolorem przedziwnych farb.  
I oto kielichy rozpękną  
I puchów opadną mgły...*

*O kwiaty — gdzie wieniec wasz?  
O kwiaty — o kwiaty — sny!*

Janina Przecławska.

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Cecylja Walewska. „Koleżanka Stefa“. Nowele — obrazy. Warszawa 1913. Nakł. Tow. Orgelbranda S-ów.

Na polu beletrystyki ojczystej znane są nie od dziś zaszczytnie prace Cecylji Walewskiej, która do zbioru licznych utworów swych, zawsze z zainteresowaniem czytanych dla głębszej myśli i formy artystycznej, dorzuciła obecnie wiązanke górnje pomysłanych szkiców i obrazów, sercem czującym i duszą gorącą intuicyjnie odtworzonych.

I oto, niby w korowodzie wspomnień, przesuwają się w tem ostatnim wydaniu utalentowanej pisarki obrazy niedawno minionych dni — dni cierpień i niepokojów przeolbrzymich, nieskończone długich i bolesnych oraz krótkotrwałych przeblasków radosnych, słonecznych upojeń, grających w duszy hejnałem nieziszczonych nadziei...

„Dwie chwile“, — „Z martwych dni“, — „Baczność“, — „Spadł z etatu“, — „O polskie dzieci“ — malują smętne, grozą napiętnowane przeżycia narodu w ostatniej dobie — malują z przejmującą prostotą prawdy, wymowną i wstrząsającą w swej nagiej rzeczywistości.

W „Tęsknocie“, — „Drzewku“, — „Dwugłowie“ — podchwytuje autorka najsubtelniejsze drgania nieuleczalnie zranionych serc ludzkich. Z tęsknoty za ożywym powiewem łąk i pól rodzinnych, zamiera moralnie młody marzyciel, wywieziony dla zdrowia w piękne, obce kraje. „Drzewko“ wigilijne stroi osierocona matka ubogiej dziatwie przedmieścia, rozpamiętywując w kamiennym bólu, radość wywołaną jarzącą choinką u własnej utraconej dziecięcy.

Szkice plastyczne: „W blasku“ i „Pożar więzienia“, dają tem straszniejsze, bo realne obrazy z dna nędzy i rozpacz mas upośledzonych zaczerpnięte. Typy więzienne, oraz nastrój „kazionny“ znakomicie odtworzone. Ten tylko, kto sam przebył długie godziny za kratą i zbierał się z po-



tworną rzeczywistością owych „piekieł“ dantejskich, już tu na ziemi istniejących, jest w stanie taki obraz przed czytającymi roztoczyć.

Najdłuższa nowela „Koleżanka Stefa“, dająca tytuł książce przerzuca nas w sferę wewnętrznych dążeń i porywów młodej dziewczyny łaknącej światła wiedzy i szlachetnego, nieskażonego życia, w przeciwieństwie do szablonowych rąm zamkniętego mieszczańskiego domu, dławiącego duszną atmosferą bezmyślnego użycia jej wytworną, niepowszednią naturę.

Po licznych walkach i borykaniach z przyziemnymi aspiracjami otoczenia — „dobro i prawda“ tryumfuje w noweli — dwa bratnie duchy, związane miłością podniosłą, podają sobie ufnie dłonie, by kroczyć wspólnie ku górnym celom ukochawszy jedne ideały!

Uszlachetniająco oddziaływa czytanie owych pięknych szkiców i obrazów idejowej autorki, umiejącej zawsze najczystsze struny serc ludzkich poruszyć swą subtelną, delikatną dłonią kobiety-artystki.

E. Wielowiejska.

Jan Lorentowicz. — *Polska pieśń miłosna* (z 12 reprodukcjami obrazów artystów polskich). Str. 479. Warszawa (bez daty). Nakład Gebethnera i Wolffa.

W prześlicznej szacie wydawniczej zjawiał się arcywytworny ton polskiej pieśni miłosnej. Zjawiał się w samą porę, gdyż tyle nieporozumień krąży u nas co do tonów erotycznych, które są psychice polskiej właściwe lub sprzeczne. Poglądowo każdy czytelnik będzie się mógł przekonać, że „syn-tezy“ niektórych krytyków, jak np. Potockiego, opierały się na lotnym piasku złudzeń. W orjentacji dopomoże mu doskonały wstęp pióra Lorentowicza, w którym odtwarza on rozwój nowych erotycznych sposobów odczuwania, daje historję polskiej pieśni miłosnej.

Układ swojej antologii rozpoczyna Lorentowicz inwokacjami, hymnami do Miłości. Wybiera następnie najcharakterystyczniejsze z piosenek ludowych. Następnie daje od Kochanowskiego po autorów spóczesnych generacji najmłodszej wszystkie te erotyki, które odznaczają się tonem psychologicznie-indywidualnym, bądź formą artystyczną. Przypomina twórczość Filleborna, Barwickiego, Gawińskiego, Andrzeja Brodzińskiego, Józefa Szymanowskiego. Najważniejszą wszakże rzeczą w tym zbiorze pieśni miłosnych jest ich systematyzacja, ich metodyczne opracowanie. Dla laika będzie to wyczerpujący zbiór wierszy o miłości, w którym znajdzie wszystkie możliwe załamania uczucia w jaźni ludzkiej. Dla krytyka zaś, dla historyka zbiór ten będzie doskonale usystematyzowanym materiałem, który w każdej chwili może mieć pod ręką.

Korzyść więc posiadania książki takiej jest właściwie dla wszystkich jednakowa. Z roskoszą otworzy ją piękna rączyna zakochanej dziewczyny, w skupieniu przeglądać ją będą mędrca oczy. Dziewczyna znajdzie ukojenie swoich snów i marzeń, mędrzec odnajdzie struny duszy polskiej, które są łączne zawsze w naszych czynach, w naszych przedsięwzięciach. Pozna on głębiej i wszechstronniej jaźń polską, pozna jednym słowem to, co jest niezbędne do poznania, gdy się chce dla narodu i z narodem jakimś pracować.

Na książkę tę zwracam uwagę myślącej publiczności. Wiem bowiem, że niemyśląca chwyci się jej, jako sensacji. Ale nie oto chodziło

Lorentowiczowi. Przyswiewcał mu wyraźny cel naukowego opracowania specjalnego działu w twórczości naszej rodzimej, co też uczynił. Nawiasem mówiąc, jest on pierwszym w tej dziedzinie. Nikt do tego czasu nie wpadł na pomysł, by opracować polską pieśń miłosną, choć cel to taki wdzięczny, taki zajmujący.

Temat ten posiada Achillesową piętę, gdyż unas ilekroć chce się poważnie mówić o zagadnieniach uważanych przez przeciętną psychikę za niepoważne, wypelza zaraz posądzenie, że chodzi tu nie o rzecz, lecz o łatwo przeciętną strawę dla sensacji.

Kto jednak weźmie książkę Lorentowicza do ręki — ten przekona się o co mu chodziło. Już sam estetyczny wygląd książki zmusza czytelnika, by odniósł się do niej poważnie. Książka więc ta może być tylko pomnożycielką estetycznych i myślowych, naszych bogactw.

Kto zechce w niej szukać innych celów — ten lepiej niech nie bierze jej do ręki.

Trzeba się dostosować do poziomu artystycznego naszej pieśni miłosnej!

Tworzyły ją bowiem największe duchy w narodzie.

Wacław Sobieski. *Król a Car*. (Studja historyczne). Str. 244. Lwów 1912. Księgarnia B. Połonieckiego. Warszawa E. Wende i S-ka.

Rzadko spotyka się książki, które zostawiają po przeczytaniu treść godną długiej pamięci. Przeważnie bowiem ma się do czynienia z makulaturą, zadrukowaną bezceństwami „artystycznymi“ „poezją“ zwierzeń, półszepców; półśnień.

Obok takich tomów „tęsknot wieczystych“, stoi praca Sobieskiego, jak marmurowy złom. Wiem, że i ci, co przyjdą po mnie, odczytają jej stronicę z tem samem, co i ja zainteresowaniem. Kogoż bowiem nie ciekawi, gdzie rozpoczyna się gangrena, która zżarła nasz organizm państwowy? Któż nie otworzy swego serca i mózgu na przyjęcie tych wiadomości? Kogo nie zmuszą one do myśli i zastanowienia?

Praca Sobieskiego zawiera w sobie szereg rozpraw, z których „Król a Car“ jest czołową. Wszystkie jednak dotyczą bezpośrednio lub pośrednio panowania Zygmunta Augusta i antagonyzmu kultury polskiej z rosyjską. Dowiadujemy się, że od wieków Polska z Moskwą walczyła o supremację państwową. Interes rozwoju Polski zaprzeczał rozwojowi Moskwy szans powodzenia. Stąd marzenia o zdobyciu tronu moskiewskiego dla króla polskiego, stąd sny i tęsknoty carów do szczerbca bolesławowego.

W tych zapasach, jak wiemy, zwyciężyła Moskwa. Czemu zaś to przypisać — odpowiada p. Sobieski bez ogródek. Zdezorganizowaną kulturalną Polskę musiała podbić karna, samowładna Moskwa. Wszystko bowiem, co polskie nosiło na sobie piętno dezorganizacji, choć kroczyło drogami kultury, unji i federalizmu. Typowym przykładem niech posłuży fakt, że król polski musiał zaskarbiać sobie względy szlachty. Dla Rosji zaś najtypowszem wewnętrznym jej państwowości jest „oprycznik“ Iwana Groźnego.

Nic dziwnego więc, że w antagonizmie tych dwóch państw ościennych zwyciężył tu pierwsiastek, który posiadał niezaprzeczoną rację w duchu narodu, co szedł ze wschodnim fatalizmem na śmierć. U nas przed zamierzeniem rodziły się dyskusje, paraliżowały one niejedną pożądaną



sprawę. W Rosji dyskusji nie istniało. Ukaz się zjawiał i musiał być święcie wypełniany. Żadnych rokoszy, żadnych fanaberji. Najmniejsza niechęć lub niezadowolenie ściągały na osobę karę śmierci.

Ciekawe jest studjum p. Sobieskiego o zamierzeniach pseudo-Demetrusza (Łzędymitra). Ten szaleniec nie zadowolnił się tronem moskiewskim. Gromadził koło siebie wojsko, by wtargnąć w granice Rzeczypospolitej i sięgnąć po tron Jagiello-nów. Gdyby nie śmierć, która go spotkała z ręki bojarów, byłby swój zamiar wykonał. Udarem-niono intrygę, która kosztowała Polskę wiele niepo-trzebnych strat.

Oprócz prac, wymienionych w tomie niniej-szym znajdują się artykuły: Pessimizm i opty-mizm w historjografji polskiej, Legiendy a histo-ryja, Czy Skarga był turbatorem ojczyzny? Czy Heidenstein był różnowiercą? Nie mogę wszyst-kich tych rzeczy omawiać, choć faktycznie zasłu-gują na streszczenie, gdyż niema na to miejsca w krótkiej recenzji. Tem niemniej chcę zwrócić uwagę na artykuł o Skardze.

W roku bieżącym byliśmy świadkami dy-skusji w prasie, jaka się toczyła z powodu zasług i szkód, które wyrządził Skarga Polsce. Wszyscy dyskutujący opierali się przeważnie na podsta-woj pracy Sobieskiego „Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III“. Z tego to po-wodu prasa konserwatywna wzięła się do Sobie-skiego, by dowieść, że nie ma on racji, gdy twier-dzi, że Skarga zerwał sejm tolerancyjny (w 1606 r.) Jezuita Pawelski wydał nawet broszurę pełną róż-nych aroganckich oskarżeń o nieznaną historji, lecz spotyka się z odprawą godną męża nauki. Sobieski tylko faktami odpowiada. Cytuje nieznane listy francuza Jana de la Blaque, które przekonują najbardziej klerikalne elementy o źró-dłowości sądów Sobieskiego.

Na podstawowe jednak pytanie, czy Skarga był turbatorem—odpowiada w duchu kompromisowym. Nie powinno nas to dziwić. Ostrożny w uogólni-aniu nie chce przerysowywać postaci. Ale jest pewne teraz, że fanatyzm Skargi zaślepił się okropnie, że zapomniał o wszystkim, byle tylko katolicyzmowi i Rzymowi dogodzić.

Kto chce dokładnie zrozumieć istotę sporu o Skargę, musi wyjaśnić Sobieskiego przeczytać. Wogóle książka ta powinna się znaleźć w biblio-tece każdego inteligentnego człowieka. Jest bo-wiem rzadkością prawości naukowej, jest w swo-jej istocie przedziwnie polska. Język przytem potoczysty, jedrny, mocny. W książce naukowej taki język jest rzeczywiście nielada rarytasem. Bo przecież wiemy, jak się u nas pisze książki naukowe po polsku.

*Eustachy Czekalski.*

## PRASA POLSKA.

— Korespondent warszawski „Krytyki“ zbija utarte mniemanie, jakoby kandydat koncentracji p. Kucharzewski wysepowował jako antysemita.

„Pragnął być rzecznikiem potrzeb prawnych i spo-łecznych wszystkich obywateli; uznał konieczność przy-znania żydom równości praw obywatelskich, praw cy-wilnych, politycznych, oświatowych i towarzyskich — z jednym jednakowoż zastrzeżeniem: był za ogranicze-niem ich liczebny samorządzie miejskim.

Tu jest kwestja trudna do zrozumienia dla gali-cjan, a niestety także dla żydów w Królestwie.

Dzielią się oni na tubyleców, osiadłych tutaj od wieków, i na przybyszów litwaków. Prof. Baudouin de Courtenay, którego o antysemityzm nikt chyba nie po-sądzi, przytoczył w „Krytyce“ mnóstwo przykładów nie-odpowiedniego zachowania się tych przybyszów—w kraju, którego nie znają, językiem jego nie mówią.

Dla nas, stojących na gruncie odrębności prawo-państwowych ziem polskich, przybysze ci z głębokiej Rosji są cudzoziemcami. Ich synowie i wnuki nauczą się po polsku, może nabędą przywiązania do kraju; tymczasem są oni przybyszami. Gdyby w Berlinie, Kra-kowie, Lwowie. ktoś zaproponował udzielenie równo-uprawnienia dziesiątkom tysięcy żydów rosyjskich, przybyłych tutaj wczoraj. gotowych z całą bezwzględ-nością wyzyskać swą liczebność, aby opanować pewne instytucje — pierwsi żydzi oświadczyliby się przeciw temu. W każdym państwie trzeba wprzód pozyskać prawo obywatelstwa. by móc być wyborcą i wybiera-nym; Królestwo należy do Rosji, dla nas nie wynika stąd jednak, aby każdy przybysz z Rosji mógł opano-wywać instytucje publiczne, w danym wypadku samo-rząd miejski.

Tego nie chcą uwzględnić nacjonalisci żydowscy, dla których żyd wczoraj przybyły z Odesy jest równo-uprawnionym, podobnie jak z drugiej strony dla nacjo-nalisty polskiego typu p. Dmowskiego żaden żyd nie jest równouprawniony“.

Trafna ocena powyższa sytuacji wyborczej w Warszawie, naszym zdaniem, oświećla kwestję żydowską z punktu widzenia, który przemówić powi-nien do przekonania wszystkich, nie zaślepionych uprzedzeniem lub doktryną.

— „Kurjer Krajowy“ omawiając głośną spra-wę aresztowania kilkudziesięciu uczniów i uczenie szkół średnich w Petersburgu, ironicznie zaznacza, że niewinne zebrania młodzieży urosły w oczach władz do poziomu spisków, grożących bezpieczeń-stwu państwowemu.

„Z zebrań młodzieży zrobiono sensację, zbrodnię, tajemniczą rewolucję.

Związki i kółka, w których młode umysły szukają samorzutnie dróg do poznania prawdy, do kształcenia swej świadomości i uczucia, w których dają wyraz swym potrzebom duchowym, stały się naraz przedmio-tem zacieklej sporów politycznych, groźnym zjawis-kiem w życiu państwowem.

Poważne stronnictwa polityczne w Dumie zmu-szone zostały do interpelowania rządu w tej sprawie, rozumiejąc jaką szkodę społeczeństwu wyrządza za-chłanność reakcji, używającej takich środków do tero-ryzowania ludności widmem rzekomej rewolucji. Nie bardziej nie zdoła zdemoralizować młodzież i wykoleić ją przez roznamiętnienie, jak ta conajmniej nieopatrzna akcja walki, którą jej wytoczono. Ten nowy wynalazek „wroga wewnętrznego“ zasługuje zaiste na opatento-wanie, ale jeno przez nieprzyjaciół ludzkości“.

Myli się tylko sz. autor, jakoby to miał być nowy wynalazek. System szkolny, stosowany w Ro-sji, walczy z owym „wrogiem wewnętrznym“ od niepamiętnych czasów.

— Konserwatywne „Słowo“, w koresponden-cji ze Lwowa charakteryzuje stan obecny ugody polsko-rusińskiej.

Ugoda w sprawie reformy wyborczej ma być zawarta pod warunkiem, iż rusini otrzymają 27,3% mandatów, zamiast dotychczas obiecywanych 26,4%.

„Kiedy sprawa uniwersytecka już dojrzała, ze strony narodowo-demokratycznej rzucano bombę: endecy zagrozili wystąpieniem z Koła Polskiego. Jednak nikt się tej groźby zbyt nie przestraszył i większość Koła gotowa była do zgody. W tej chwili p. Stapiński, który w ustępliwości wobec rusinów nie znał do niedawna granic, oświadczył że nie będzie głosował za zgodą w sprawie uniwersyteckiej, jeśli równocześnie nie nastąpi porozumienie w kwestji reformy wyborczej. W ciągu kilku dni trzeba więc było przedyskutować raz jeszcze skomplikowaną kwestję reformy wyborczej tak, by prezesowie sejmowych klubów objąć mogli gwarancję za jej przeprowadzenie. Bawiący w Wiedniu namiestnik



Bobrzyński, członkowie prezydium Koła i referent sprawy poseł Jaworski, dokazywali istnych cudów, prowadząc rokowania po kilkanaście godzin dziennie, to pomiędzy sobą, to z ministrami, to znów z przywódcami ruskimi. Przytem endecy nie tyle w Wiedniu, co w kraju czynili co mogli, żeby każdą ugodę popsuć.

W sprawie sejmowej reformy wyborczej zgoda jest już prawie zupełną, w kwestji uniwersyteckiej traktuje się nową formułą, która poręczyć ma polski charakter dzisiejszego uniwersytetu a zarazem terminowo zabezpieczyć powstanie uniwersytetu ruskiego. Wskutek takiego zwrotu mowy ruscy w komisji budżetowej wysuwają się na szary koniec, ażeby, jeśli dziś sprawa pomyślnie będzie załatwiona, zupełnie się skreślić, jeśli zaś nie, przez obstrukcję uniemożliwić uchwalenie budżetu. Oczywiście jest to presja na rząd, a nie na Koło Polskie, za uchwalenie budżetu zgoda nieodpowiedzialne, rusini jednak liczą na to, że rząd ze swojej strony wyrzuci znów presję na polaków.

Na zamiar ów demokracji narodowej secesji z Koła Polskiego zwraca uwagę „Tygodnik Polski” jako na szczegół wysoce charakterystyczny. Wszakże właśnie endecja *solidarność Koła Polskiego* uważała zawsze jako dogmat...

## Numer okazowy.

(Nieco humorystyki).

Wychodząca w Warszawie od roku „Gazeta leśna i myśliwska”, „postawiona na stopie pierwszorzędnych specjalnych wydawnictw polskich”, dzięki „uznaniu i najwyższej opiece” „właścicieli lasów oraz przedstawicieli polskich rodów magnackich”—rozsyła obecnie zamiast prospektu numer okazowy.

Artykuł wstępny jest tak dowcipnie ułożony, że każda wyrażona w nim myśl o dobrej przeszłości pisma, i o jeszcze lepszej przyszłości, znajduje doskonałe potwierdzenie w innych artykułach tegoż numeru. To nie sztuka „obdarzać czytelników szumnemi zapowiedziami, których najczęściej część zaledwie się ziszcza”! Czyż nie lepiej odrazu go przekonać że menu ścisłe odpowiada wytworności samej uczyty?

Któż bowiem odtąd wątpić będzie, że „żadne kamienie rzucone przez niechętnie i podrażnione w swej ambicji pseudo-powagi” nie wytrąca z równowagi gazety „powołanej dla nauki i pożytku”, gdy na następnej str. przeczyta w artykule p. W. Olszowskiego, jak to uczeni, zwłaszcza Niemiec, zaciemniają spostrzeżenia praktyczne naszych polskich leśników. „*Uczeni ci, a jest ich większość, stanowią arystokratyczno-naukową kastę na wzór starożytnych kapłanów egipskich która nie chce zstąpić ze swego wyższego stanowiska i zmieszać się tłumem. powinni tylko palić przed niemi kadzidła i oddawać cześć na ich pomysły, wynalazki i pracę nad rozwojem nauk*”.

Wyobrażam sobie jak to błędnie pseudo-powaga uczonych Niemców wobec tak pięknego sensu i stylu polskiego praktycznego leśnika. Stylowi temu a i sensowi też dziwić się trudno. Przecież redakcja „gazety” troszczy się nie tylko o „dobór interesujących artykułów”, ale i o „jednanie najlepszych sił pisarskich” i to w zakresie zarówno prozy, jak poezji. Dowodzi tego naprzykład wiersz p. M. Godlewskiego, nieznanego poety, ale zapewne bardzo praktycznego polskiego leśnika.

„Spójrz na dół, jak myśliwy,  
Chociaż widać już leciwy,  
Musí zimą codziennie zrana  
Przywieźć owsa, trochę siana”.

Śliczna reminiscencja stylowa: „w jednym owies — w drugim siano”. Tylko że tam było

o osiołku a tu jest o koziołku... Może przypomniła się młodemu poecie starodawna posenka o „babulince rodu bogatego”, a może młody poeta jest symbolistą. Bo naprawdę trudno uwierzyć, że to tylko o koziołku mowa, skoro wiersz jest zatytułowany „Vanitas”. Druga strofa brzmi tak:

„Ród to wielki, starodawny,  
Cnotą przodków wielce sławny;  
Za te cnoty dały bogi  
Potomkowi piękne rogi

a rogi rzeczywiście tak często bywają darem bogów za — cnotę.

Ale nie! Autor na szczęście symbolistą nie jest. Owo „vanitas” przyplątało się ni w pięć, ni w dziesięć. Lepiej było zatytułować wiersz po polsku: „marność”, bo i marny-ż był koniec—biednego kozła...

A koniec wiersza taki:

Lecz myśliwy — chytra dusza —  
Uklęknawszy cynglem rusza  
Strzelił celnie. „Kozle drogi  
Rosły dla mnie twoje rogi”.

Przypomina to stylem miłe, znajome strofy:

„tate będziesz w rurkę dmuchał  
a ja będę cynglem ruchał”

tylko że tu koniec tego „ruchania” trochę mniej tragiczny...

Zresztą i proza artystyczna nie ustępuje tym próbkom mowy wiązanej a pod względem dowcipu częstokroć znacznie je przewyższa.

„Żalośnie oparłem wierną broń w kącie, zdjąłem rozdartą opony mego tylnego „Ja” i wypchawszy je według wszelkich wymagań sztuki sianem, poczęłem je cerować w tem miejscu, gdzie zwykle „tarcza” się znajduje. Tak skończyło się polowanie na niedźwiedzia, stosownie do niebezpieczeństwa danej zwierzyny, i nie bez nieszczęścia — tym razem chociażby dla spodni”.

„Nagość mojego ciała występuje w postaci otwartej rany „na siedzeniu” na świat Boży. Chwytam się, macając z tyłu. Co było ludzkiego pozostało całe”.

Co za obraz! Może ten „boży świat”—trochę nie na miejscu, ale za to to ocalone tylne ludzkie Ja z tarczą zupełnie by musiało rozbroić najsurowszą nawet krytyczność.

Pod jednym wszakże względem nie spełnia swej obietnicy „Gazeta leśna i myśliwska”. Bo oto uspakaja czytelnika że nie da mu w tym roku „żadnych rzeczy nadzwyczajnych”, a jednak...

Zabiera głos jakiś obszarnik z Litwy (ci koroniarze zawsze muszą brata litwina... wziąć na kawał!)

Jest to wyjątek z artykułu polemicznego „obszarnika” z owym p. M. Godlewskim, który jak się okazuje więcej ma w sobie poezji niż praktyczności leśnej i niepotrzebnie się tylko naraża znacznie mniej poetycznym od siebie obszarnikom.

Jako poeta, umiał p. G. „dogodzić swemu panu—z pochodzenia kozłów stanu”, (?) ale obszarnikowi „dogodzić” trudniej.

Oto co pisze o tem sam obszarnik:

„Jako zamilowany myśliwy odpowiem p. G. w kwestjach, któremi dotknął myśliwstwa.

Przedewszystkiem stanowczym jestem przeciwnikiem upoważniania niższej czy wyższej służby leśnej do strzelania do zwierzyny. Jeśli chodzi o przyjemność strzału, to służba leśna ma szerokie pole do wprawy i przyjemności przy obowiązkowym tępieniu drapieżników. Nie mając sposobności strzelania do zwierzyny, tem bardziej rozwijać w sobie będzie zamilowanie do tępienia drapieżników, przez co dla zwierzostanu osiągnięta będzie korzyść. Dopuszczenie zaś polowania na zwierzynę może doprowadzić do nadużyć, a przez to do uszczuplenia zwierzyny łownej, która winna być zastawioną kwoli przyjemności myśliwskiej właściciela i jego gości.

Czytając artykuł p. G. otrzymuje się wrażenie, że nie uznaje prawa wyłącznej własności przestrzeni leśnej, gdyż chciałby, by właściciel część zwierzyny



dawał do odstrzelania służbie leśnej dla jej osobistej przyjemności. Ale przecież właściciel dając utrzymanie tej służbie, zapewniając jej kawałek chleba za wierną służbę—robi wszystko co do niego należy i ma przecież prawo żądać od swych oficjalistów i służby, całkowitego oddania się sprawie służby bez myśli o swych przyjemnościach i zachciankach, a przecież zachcianka jest chęć jedzenia kuropatw, bażantów i zajęcia ze strony ludzi, którzy muszą pracować, by na chleb powszedni zarobić.

Oficjalista zawsze powinien pamiętać, że pierwszym jego obowiązkiem jest spełniać włożone nań obowiązki, jakiego od niego wymagają chlebobdawcy, a wszelką krytykę zostawić tym, którzy mu są równi stanowiskiem i urodzeniem. Oficjalista musi być wdzięczny za dany mu kawałek chleba, słuchać wszystkiego, co mu powiedzą, choćby sądził osobiście, że każą mu robić błędnie, bo winien ciągle mieć na myśli to, że służy, że opiekuje się cudzą własnością, z którą właścicielowi wolno robić, co mu się podoba, a i nie zapominać o tem, że miejsce jest mało, a oficjalistów dużo. Właścicielowi wolno wymagać więcej, aniżeli było przy umowie zgodzone, wolno mu stosownie do swej woli, zmniejszać wynagrodzenie i korzystanie z naturalji, bo zawsze znajdzie kogoś, który oficjalistę niedogodnego zastąpi. Choćby się przyjęło gorszego od wydalonego, to jednak wynagrodzi poczucie tego, że właściciel jest panem w swym majątku, i że dał przykład innym, podkreślając to jasno.

Pana G. nie znam—i pewno go nie poznam; wiem że już ze względu na jego zasady, do siebie bym go nie przyjął. Widzę tylko, że nigdy właścicielem majątku nie był i nie zna psychologii obszarników. Nie umiejąc wejść w położenie właściciela lasów pisze rzeczy, które mogą trafić do przekonania jego kolegów i zły wpływ wyrzeć, ale nie wzbudzą w obszarniku nie więcej, jak ironiczny uśmiech i wzruszenie ramion.

Niewiem, czy p. G. jest dobrym specjalistą-leśnikiem, czy nie, czy myślnictwo traktuje z zamiłowaniem, do czego jest obowiązany, jeśli pracuje jako oficjalista leśny, ale powtarzam, że prawo zwracania uwagi i krytyki ma tylko równy, a chyba p. G. nie ma pretensji, byśmy, właściciele większych obszarów leśnych, za takiego go uważali. I dlatego niechaj się nie dziwi, że stokroć więcej zwrócimy uwagę na to co powiedział „Ks. X lub hr. Y“, jak się wyraził, aniżeli na jego wskazówki“.

#### Obszarnik z Litwy.

A jednak szkoda że taki poeta nigdy właścicielem majątku nie był i nie zna—psychologii.

Och—ta „psychologja obszarników“! Czy może raczej psychologja jakiegoś tam, mówiąc stylem owej powiastki o niedźwiedziu, tylnego Ja—z tarczą lub nawet i bez tarczy...

Redakcja gazety dodaje: „W imię zasady audiatur et altera pars pomieszczamy artykuł powyższy, pomimo że nie na wszystkie poglądy Szanownego Autora się godzimy“.

Nie na wszystkie...

Dobre i to!

Ale „numer“ jest (o się zowie—„okazowy“.

dim.

## KRONIKA.

### == Prace IV-tej Dumy w pierwszej sesji.

Podczas pierwszej sesji IV Dumy, trwającej miesiąc, odbyło się 13 posiedzeń, z których 4 poświęcono wyborom prezydium, 6—rozprawom nad deklaracją rządu, 1—rugom i 1—omówieniu nagłości interpelacji.

Wnieśli 6 interpelacji i 2 zapytania. Trzy interpelacje dotyczą wyborów, jedna—przedłużenia stanów wyjątkowych, dwie—środków przedsięwziętych wobec związków robotniczych. Zapytania dotyczą reform na Kaukazie oraz rewizji i aresztowań wśród uczniów średnich zakładów naukowych w Petersburgu.

Różne frakcje wniosły 12 projektów prawnych, w tej liczbie kadeci 7, październikowcy 3, postępowcy 1 i prawica 1.

### == Audjencja Najwyższa.

Jak donosi „Russkoje Słowo“, na audjencji w pałacu Zimowym obecni byli czterej przedstawiciele Kola polsko-li-

tewsko-białoruskiego, mianowicie: ks. Maciejewicz, inż. Święcicki, Wawrzyniec Puttkamer i p. Ciunelis. Z frakcji rosyjskich stawili się w komplecie: nacjonalisci, prawicowcy, grupy centrum i październikowcy. Kadeci i postępowcy przybyli nie wszyscy. Świecili zaś nieobecnością: członkowie grupy pracy i frakcji socjalno-demokratycznej.

### == Nowy minister.

Pogłoski, krążące od dłuższego czasu o ustąpieniu ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych Makarowa potwierdziły się. Na jego miejsce mianowany został N. Maklakow, dotychczasowy gubernator czernihowski.

Nowy minister pochodzi z Moskwy. Jest synem profesora uniwersytetu moskiewskiego i bratem posła do Dumy, W. Maklakowa (k. d.), z którym różni się w przekonaniach politycznych, choć uchodzi, według opinji swego brata, za „narodowego postępowca“, dążącego do urzeczywistnienia wskazań Manifestu z d. 17 października.

Nominacja ta, według informacji „Utra Rossji“ miała wywołać w ministerjum „ogólne zmieszanie“. Podobno dymisję Makarowa spowodowała jego niezręczna taktyka podczas wyborów, której inicjatorem był wice-minister Charuzin. Ten również ma otrzymać dymisję.

### == Pożegnanie „Walki z kłamstwem“.

„Walka z kłamstwem“, pismo wydawane nawpół po polsku nawpół po rosyjsku przez hr. Ignacego Korwin-Milewskiego zakończyło swe krótkie istnienie. Oryginalnego tego wydawnictwa, poświęconego wyłącznie niemałym wymysłaniom od ostatnich słów rozmaitym rosyjskim działaczom kresowym ukazało się 14 numerów.

### == Placówka artystyczna.

P. Jan Bułhak, znany artysta-fotograf otworzył w Wilnie (Portowa 4) pracownię, urządzoną z niezwykłym smakiem i uwzględnieniem najnowszych udoskonaleń technicznych.

Prace p. Bułhaka były niejednokrotnie podziwiane na rozmaitych wystawach. Wilno miało możność oglądania ich w pracowni artysty w d. 8 i 9 grudnia b. r.

### == Biblioteka pamiątek.

P. J. Hłasko, redaktor „Kurjera Litewskiego“ otrzymał koncesję na wydawnictwo miesięcznika p. t. „Biblioteka pamiątek“. Pierwszy tom ma się ukazać w styczniu 1913 r.

### == Wykreślenie z listy adwokatów przysięgłych.

Adwokat przysięgły, Leopold Blumental (Leo Belmont) za artykuł w № 130—1 „Wolnego Słowa“ p. t. „To nie jest obraza Majestatu“, poświęcony obronie Marczewskiego i Gackiego,—z powodu skazania go wyrokiem izby sądowej na rok fortecy,—został przez sąd okręgowy warszawski wykreślony z listy adwokatów.

## Treść numeru.

O miedzę.—L. Abramowicza.

Obecny prąd antyżydowski, jako etap kultury.—J. Sorokowicza.

Myśli i wrażenia z podróży.—J. Kuczyńskiego.

Głos litewski o sytuacji.

Nad Tamizą.—Dr. K. Wrzosa.

Syndykalizm francuski.—R. Dołęgi.

Narody.—J. Hankiewicza.

O nas i o naszym kraju.—L. A.

Z księgi ciszy.—J. St. Wierzbickiego.

Z mego notatnika.—Licza.

Towarzysz pracy.

Teatr zimowy.—Z. Kl. i Zastępcy.

W gnieździe „Orlątko“.—Z. Kleszczyńskiego.

Kwiaty.—J. Przecławskiej.

Przegląd piśmienniczy.—E. Czekalskiego i

E. Wielowiejskiej.

Prasa polska.

Numer okazowy.—dim.

Kronika.

Odcinek: „Zastygła fala“.—J. Augustynowicza.



W WILNIE WYCHODZI CODZIENNIE  
**„KURJER KRAJOWY“**  
 PISMO DEMOKRATYCZNE.

**PRENUMERATA:**

W WILNIE: rocznie — 3 rb. 50 kop., półrocznie 1 rb. 80 kop. miesięcznie — 30 kop.  
 NA PROWINCJI: rocznie — 4 rb., półrocznie — 2 rb., miesięcznie — 40 kop.

REDAKTOR-WYDAWCA **JULIUSZ SUMOROK.**

Adres Redakcji: **Wilno, ul. Wileńska 15.**

## HUMANISTA POLSKI

Miesięcznik, wydawany i redagowany przez **ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO**  
 wychodzić będzie (zamiast **Kultury Polskiej**)  
 od 1-go stycznia 1913 r.

Prenumerata roczna 3 rb. z przesyłką lub odnośnieniem do domu 3 rub. 30 kop.

Administracja: **Warszawa, Krucza 9.**

## „KRYTYKA“ Kraków, ul. Staszica 5

miesięcznik poświęcony sprawom polityczno-społecznym i literacko-artystycznym, wychodzi rok XIV w Krakowie. Programem „Krytyki“: niezawisłość i twórczość narodu i jednostki. Ideom tym daje wyraz w artykułach zarówno filozoficznych, jak i politycznych, wytwarzając jednolity pogląd na świat i drogę, do czynu. W polityce „Krytyka“, nie będąc organem żadnej partii, służy sprawie niezawisłości bez kompromisów. Z zakresu polityki przemawiają z łamów „Krytyki“ W. Feldman, d-r Wł. Gumplowicz, B. Kostecki, d-r M. Kukiel, Bol. Limanowski, St. Posner, K. Srokowski, dr. M. Sokolnicki, K. Stefański, Wł. Studnicki, L. Wasilewski i grono współpracowników z zaboru rosyjskiego. Wolność pragnie „Krytyka“ widzieć w połączeniu z kulturą myśli niezależnej od przesądów i przeżytków duchowych (artykuły prof. Baudouina de Courtenay, Jana Hempla, dra M. Janika) i z obroną interesów klasy pracującej (prace Edw. Grabowskiego, dr Heleny Landau i in.).

Pogłębienie filozoficzne poglądu na świat stanowi kardynalny punkt „Krytyki“, zaznajamia tedy z obecnym stanem myśli filozoficznej obcej i swojskiej; dyskusje, jakie „Krytyka“ niedawno przeprowadziła w najżywoźniejszych sprawach filozofji współczesnej należą do najważniejszych, jakie w Polsce w ostatnich czasach drukowano. Poezje, nowele, artykuły o literaturze i sztuce polskiej i obcej dają wyraz twórczości — szczególnie sił młodych, i szybko informują o najżywoźniejszych zjawiskach piśmiennictwa.

W każdym numerze „KRYTYKI“: charakterystyka kierunków i nowości literackich, artykuł o wybitnym artyście-plastyku, „przeгляд filozoficzny“ (K. Bleszyńskiego), sprawozdania ze scen i wystaw, rzecz o szkole i wychowaniu (K. T. Brońca) — i Dodatek artystyczny w formie reprodukcji dwóch wybitnych dzieł malarskich lub rzeźbiarskich.

Z beletrystyki będzie „Krytyka“ w r. 1913 drukować utwory G. Daniłowskiego, Czesława Halicza, Jul. Kadena, Zygm. Kisielewskiego, Wł. Orkana, W. Sieroszewskiego, M. W. Walewskiej (hr. Wielopolskiej) i in. Rocznie daje „Krytyka“ 4 tomy lektury i dwadzieścia kilka reprodukcji artystycznych.

W ostatnich trzech latach drukowała „Krytyka“ prace przeszło 120 współpracowników.

Prenumeratę (10 rb. rocz., 5 rb. półrocz.) najlepiej przysyłać na adres wydawnictwa: **KRAKÓW, ul. Staszica 5.**



# „PRAWDA“

Najstarszy polski tygodnik demokratyczny i postępowy

Poświęcony sprawom polityki, życia społecznego,  
..... nauki, literatury i sztuki. ....

„PRAWDA“ zgrupowała w roku bieżącym szereg następujących  
wybitnych pisarzy:

Avanti, L. Biegeleisen, L. Brunn, Z. Bujakowski, L. Choromański,  
dr. Z. Daszyńska-Golińska, K. Ehrenberg, W. Grubiński, F. Jabłczyński,  
Jerzy Jankowski, K. Irzykowski, L. Konopacki, S. Kiedrzyński,  
L. Kulczycki, S. Miłaszewski, K. Pawlikowski, S. Pieńkowski, M. Sterling,  
A. Świętochowski, A. Szczęsny, L. Wasilewski, M. Iehanne-Walewska,  
B. Winawer.

W r. 1913-ym abonenci „PRAWDY“ w formie bezpłatnego dodatku otrzymają cenne europejskiej sławy dzieło znakomitego francuskiego uczonego S. Reinacha p. t.

## „Orfeusz, powszechne dzieje religji“.

Prenumerata „PRAWDY“: w Warszawie miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnośnieniem do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Widok № 3, telef. № 77-80.

Redaktor: Wincenty Rzymowski.

Kierownik literacki: Kazimierz Wroczyński.

## Pozostające pod zarządem Ministerjum handlu i przemysłu Kursy buchalterji N. J. i A. J. MOCHOWÓW DLA OSÓB PŁCI OBOJGA.

WILNO, Ś-to JERSKA 44.

Podania są przyjmowane. Wykłady zostaną rozpoczęte d. 1 lutego. Opłata wynosi 100 rubli. Na kursach będą wykładane: buchalterja, arytmetyka handlowa, korespondencja handlowa, prawoznawstwo, języki cudzoziemskie i arytmetyka ogólna. **PROGRAMY BEZPŁATNIE.**

Kancelarja otwarta od 10-tej do 4-ej po poł.

Do nabycia książka, polecona przez Kom. Nauk. Min. Handlu i Przem.

**N. MOCHOWA**

Buchalterja -- kurs młodszy teoria i praktyka.  
Cena 1 rb. 50 k.

NAJTAŃSZY MIESIĘCZNIK

## „ECHO LITERACKO-ARTYSTYCZNE“

wychodzi w Warszawie przy współpracownictwie najwybitniejszych sił literackich.

Od N. Roku rozpoczyna druk powieści J. Augustynowicza p. t. „WIOSNA“, obrazującej życie młodzieży średnich szkół polskich na prowincji.

Komitet redakcyjny stanowią: K. Łozińska, A. Sikorski, C. Walewska i E. Wielowiejska.

Dział poezji prowadzi S. Szadurska. :-: Redakcja—Chmielna 14 m. 14.

Prenumerata roczna: w Warszawie — 6 rb., na prowincji — 7 rb., zagranicą — 8 rb.

Ogłoszenia przyjmują się.

**NOWOŚCI**  
Artystyczne Wileńskie pocztówki świąteczne  
w 4-ch odmianach

Wydawnictwo firmy

**„Borkowski i Żukowski“**

WILNO Ś-to Jerska 5. tel. 14-06,  
„ Ś-to Jańska 19, „ 5-88.

W cenie po 10 kop. za sztukę.

Wielki wybór pocztówek wydawnictwa krakowskich.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“

tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzonkiem

**Informator Handlowy.**

**BIURO PRZEPISYWAŃ**  
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.  
POSPIECH I DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

**T. KRZYŻANOWSKI**

Wilno, Ludwisarska № 8.  
Obuwie gotowe i na obstalunek.

**KSIĘGARNIA**

**KULTURA** Wilno, Ś-to Jerski 7.

Wszelkie nowości.

W WILNIE



L.MA VRUBLEVSKIŲ BIBLIOTEKA



002 00497410 3

Lietuvos TSR Mokslų Akademijos  
CENTRINĖ BIBLIOTEKA

2-P 392 / 1911  
1912